Nr. 47. Warszawa, dnia 11 (23) Listopada 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka.* Jowisz londyński. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Laura Marholm, Księga kobiet (ciąg dalszy). — *Badania naukowe* Dzieje wojny, p. T. — *Literatura i sztuka.* Literatura angielska, p. L. W. — Przegląd muzyczny, p. Br. N. — Notatki literackie i artystyczne. — *Poezye:* Legenda o poezyi, p. Józefa Stanisława Wierzbickiego. — *Życie społeczne.* Z Galicyi, p. Cho. — Opieka nad dziećmi, p. Humanusa. — Nasza hygiena, I, p. Zen. Piet. — Liberum veto, p. Posła Prawdy. — W dali. — *Sprawy ekonomiczne.* Agenci handlowi, p. Dr. — O prawdę, p. Waleryę Marrene. — Kronika. — Ogłoszenia.

NAJWYŻSZY MANIFEST.

MY,

Z BOŻEJ ŁASKI

MIKOŁAJ II,

Cesarz i Samowładca Wszechrossyjski, Król Polski, Wielki Książę Finlandzki itd. itd.

wiadomo czynimy wszystkim Naszym wiernym poddanym: W dniu 3-cim bieżącego listopada najukochańsza Małżonka Nasza Jej Cesarska Mość Cesarzowa Aleksandra Teodorówna szczęśliwie powiła Nam córkę, nazwaną imieniem Olgi. Takie pomnożenie Naszego Domu Cesarskiego przyjmując jako nowy objaw łaski Bożej, okazywanej Nam i Naszemu Cesarstwu, zawiadamiamy o tem radosnem wydarzeniu wiernych Naszych poddanych i zarazem wznosimy do Najwyższego gorące modły o szczęśliwy wzrost i powodzenie Nowonarodzonej, rozkazujemy pisać i nazywać we wszystkich sprawach, gdzie należy, najukochańszą Córkę Naszą Wielką Księżniczkę Olgę Mikołajównę Jej Cesarską Wysokością. Dan w Carskiem Siole w d. 3 listopada, roku od narodzenia Chrystusa tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym, panowania zaś Naszego drugim. Na oryginale własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano:

MIKOŁAJ."

POLITYKA.

JOWISZ LONDYŃSKI.

Margrabia Salisbury choruje na wielkie słowa. Jeszcześmy nie ochłonęli z wrażeń sprawionych przez mowę w Guildhall, a już nam telegraf przynosi treść mowy bankietowej w Brighton. Rozbiór Turcyi jest tu znowu tematem kraso-mówczego popisu—na obłokach. Nie zdaje się margrabiemu, aby Turcya tak rychło upadła. Weszła ona w okres przejściowy—i przejdzie od nieładu dzisiejszego do porządku. Z chwilą, gdy sobie nada nowe urządzenia polityczne, zyska byt pewniejszy i niepotrzeba będzie stawiać jej wróżb nie wesołych. Anglia postępuje ręka w rękę z mocarstwami działającemi i w jedności tej wytrwa do końca. Stosunki jej ze wszystkiemi odznaczają się dziś większą, niż kiedykolwiek przyjaźnią. Wszystkie uważają istnienie Turcyi za potrzebne, żadne nie myśli o oderwaniu się od gromady.

Do nowego *speechu* dał powód list sułtana pod adresem—już nie królowej, ale jej pierwszego ministra. Jest to rzadki zaszczyt—stwierdzenie tego uroku, jaki margrabia rzuca na padyszacha. Abdul-Hamid prosi swego przyjaciela — o cierpliwość i zmiłowanie. Przyjaciel chce być cierpliwym—ale ponieważ jest Jowiszem, dużo go więc tem wysiłek kosztuje. Gdyby polityka mogła się obyć bez mechanizmu dyplomatycznego, a dyplomacya mogła nie być grą w zakryte karty, obecna podróż ambasadora stambulskiego, Sir Filipa Currie'go, do Paryża i Wiednia, dostarczyłaby tak wymownego komentarza do tej przyjaźni i cierpliwości margrabiowskiej, iż możnaby bez wielkiego błędu powiedzieć: co czeka Turcyę w najbliższej przyszłości.

W Paryżu sir Currie oprócz wymożenia na Francyi takiej polityki, którąby nawet w najwyższem *maximum* nie krzyżowała zamiarów angielskich, miał jeszcze na celu nakłonienie zaprzyjaźnionej Rzeczpospolitej do wystąpienia z pośrednictwem, które potrzebnem się okazało wskutek niezgodności poglądów z Austryą. O tym fakcie brutalnie doniosła *N. fr. Presse*, nie zważając na rozrzewnianie się margrabiego w Guildhall nad jednomyślnością mocarstw. Właśnie usunięcie tych przeszkód, wytłomaczenie Austryi, żeby podjętego zamiaru swego nie przeprowadzała zbyt pedantycznie, będzie zadaniem ambasadora angielskiego po przybyciu do Wiednia. Ponieważ jednocześnie Niemcy, stwierdzając tę salisburowską jednomyślność, na własną rękę poczyniły jakieś przedstawienia w Stambule, a słynna „kość grenadyera pomorskiego" wciąż jeszcze wydaje się niezgłuszonem hasłem polityki po-bismarkowskiej: nie są więc nieprawdopodobne zaloty Currie'go o miłość austryacką—na wszelki przypadek.

Zgoda, jednomyślność, jedność—zamiaru i czynu—wszystko to dobre, dopóki dyplomacya nie będzie nic robiła, a raczej dopóki będzie robiła nic. Na tę epokę doskonałym Jowiszem z tektury jest hr. Salisbury. Gdy nastanie czas rzeczywistej roboty, najlepszym mówcą będzie ten, kto najlepiej milczeć potrafi. Rozbiór Turcyi uśmiecha się p. Salisburemu tak samo, jak innym, tylko wszystkich trwoży ta droga, której ani rusz ominąć w dążeniu do celu. Całe też to zbawienie Turcyi: pozwala jej trzymać się samą bezwładnością — a w nadmiarze energii ścierających się ze sobą potęg zewnętrznych znajdować wciąż nowe odroczenie wyroku. „Epoka przejściowa" z mowy Salisburego poprowadzi Turcyę—ale tam, skąd się już nie wraca. Niema już w Europie takiego rozumu stanu, któryby ją szczerze przy życiu utrzymać pragnął. Anglia pierwsza otrząsnęła się z niego — i dziś stoi gotowa do brania. Czy dużo weźmie? A co utraci?

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nie wiadomo jeszcze do tej chwili, co p. Gołuchowski zaproponował Europie — zdaje się tylko, że między innemi także i demonstracyę flot. Niemcy jakoś do tej demonstracyi nie mają ochoty. „Moltke" w Smyrnie jest ca-

łą ich eskadrą na wodach tureckich, a o wysłaniu innych okrętów wiedzą tylko dziennikarze. Nabiera to ich ociąganie się znaczenia wybitnego wobec jakiś osobnych przedstawień, uczynionych sułtanowi, bez porozumienia się z mocarstwami. Okręty włoskie i austryackie płyną na wschód i materyału do demonstracyi nie braknie ani Włochom, ani Austryi; czy tylko będą przyjazne warunki? Włochy, mając porozumienie z Anglią, byłyby zawsze do działania gotowe i bez inicyatywy p. Gołuchowskiego. O losie jej doniosła *N. fr. Presse* w takiej treści, że możnaby raczej przewidywać niepowodzenie, niż spodziewać się pomyślnego dotarcia do brzegu. *Fremdenblatt* dyplomatyzuje; w jego gadaninie to tylko jest pewnem, że w stosunkach rzeczywistych panuje niepewność.

Rozruchy w Azyi Mniejszej nie ustają i, rzecz dziwna, trzymają się uporczywie już po za obrębem terytoryum armeńskiego, na południe od Anti-Tauru, w północnej Syryi, w głębi ku Mezopotamii. Narodowość armeńska, wielce ruchliwa, chciwa na zarobki, do handlu i przemysłu pieniężnego uzdolniona, ma tam swe kolonie. Sułtan ogłosił dnia 13-go b. m. irade, rozciągające opiekę nad ofiarami rzezi, bez różnicy wyznania i bez względu na winę: wszyscy są jego dziećmi, on wszystkim ojcem miłosiernym. Oczywiście, w tragicznem położeniu Turcyi ta spóźniona naiwność jest tylko artystycznym środkiem wzmocnienia tragiczności. Powoływanie redyfów, którzy zbiorą się za pół roku, lulanie dowódców w żelaznych kolebkach obowiązku już zaniedbanego — uśmierzanie kurdów rozkazami i naukami moralnemi—należy do tej samej kategoryi tragi-komizmu. Reformy mają przyjść na stół sułtański jak najprędzej — za tydzień, za dwa. Tymczasem z murów Stambułu policya zdziera plakaty Młodej Turcyi.

W Wiedniu d. 8 b. m. była wielka zawierucha. Cesarz d. 6 b. m. nie zatwierdził wyboru doktora Luegera na burmistrza, a we dwa dni później antisemici, tak dziś potężni, jak przed dwudziestu laty liberalni wraz z żydami — postanowili stoczyć walną bitwę z p. Badenim. Przenieśli ulicę na galeryę Izby—i z pomocą ulicy prowadzili ogień: niech im się rząd wytłomaczy, dlaczego nie zatwierdził wybrańca ludu stołecznego; lud stołeczny wył, popierając żądanie. Prezydent musiał nakryć głowę i opróżnić galeryę. Tylko psychopatya wyjaśnić by mogła ton i logikę rozpraw. Namiętność antisemityzmu ma wiele podobieństwa do gorączki motłochu żydowskiego — i w tem zestawieniu okazuje swą nicość. Ostatecznie Izba deputowanych odrzuciła wniosek nagłości rozpraw i p. Badeni wyszedł zwycięzcą z walki, która go miała powalić. Ale rada miejska wzięła na kieł: d. 13 b. m. wybrała ponownie Luegera; rząd ponownie go nie uznał za burmistrza — i samą radę na miejscu rozwiązał. Komisarz miał już w zanadrzu postanowienie. Młodoczesi w Izbie głosowali z antisemitami — zawsze było przeciwko Austryi.

I p. Bourgeois przetrzymał jakoś swych nieprzyjaciół. Kazał uwięzić wykrytego w Londynie Artona, inaczej „Aarona," przyjaciela i totumfackiego Reinacha. Oportuniści szukali go przez trzy lata po całej Europie i znaleźć nie mogli; radykalista sięgnął tylko — i ma. Bo też ściganie łotra przez umiarkowanych, rozumnych republikanów sprawiało wrażenie jakiejś zabawki *clown*'ów cyrkowych: łapano tak, aby nie złapać; Bourgeois chciał — i ma. W Izbie były z tego powodu rozprawy, które zmusiły nieprzyjazną dzisiejszemu gabinetowi większość do wyrażenia mu swej ufności. Arton od czerwca 1892 r. jest sądownie skazanym; wydanie go sądom francuskim zależy tylko od dobrej woli Anglii. Przypomniał się przy sposobności i Hertz. Zdaje się, że wszyscy już chcą mu pozwolić na spokojną śmierć w Anglii. Prokurator rozpoczął już nowe dochodzenie oszustw na kolei Południowej. Książeczka Artona, ze 104 nazwiskami, jeżeli jej oportuniści zawczasu nie wykupią lub sam kawaler nie zniszczy, może i w tem śledztwie wyświadczyć sprawiedliwości przysługę.

BADANIA NAUKOWE.

DZIEJE WOJNY.

Letourneau wydał przed laty socyologię, „ułożoną na podstawie materyału etnograficznego." Powołany do wykładania swego przedmiotu w paryskiej szkole antropologicznej, rozszerzył pojedyncze części książki i przedstawiwszy je słuchaczom w takiej postaci, wydaje jako odrębne dzieła. Tem się objaśnia płodność autora, który z roku na rok puszcza w świat nową Ewolucyę: moralności, zabytków literackich, własności, rodziny, poglądów mitologicznych, stosunków prawnych. Obecnie ukazała się już ósma z rzędu *), poświęcona rozbiorowi dziejów wojny w różnych epokach rozwoju kulturalnego i u różnych szczepów. Układ książki jest ten sam, jak wszystkich poprzednich prac Karola Letourneau: rozdzielił on fakty pomiędzy trzy wielkie rubryki, odpowiadające trzem zasadniczym pniom rodu ludzkiego, w każdej z tych rubryk wyznaczył pierwsze miejsce plemionom, które są na najniższym szczeblu rozwoju, dalsze zaś — bardziej posuniętym; do książki swojej dodał parę spostrzeżeń, zaczerpniętych ze świata zwierzęcego, w końcu kilka rzutów oka na daleką przyszłość. Wysnute uogólnienia odznaczają się lakoniczną suchością, bo poprzestają na wyciągnięciu wniosków z ugrupowanego materyału, fakty zaś zebrane nie przeszły przez krytyczną ocenę źródeł, z których pochodzą.

Pod wojną autor rozumie walkę na śmierć i życie pomiędzy gromadami istot, należących do tego samego gatunku, i tem właśnie odróżnia ją od polowania, które polega na walce pomiędzy stworzeniami, należącemi do odmiennych gatunków i dąży jedynie do zaspokojenia potrzeb głodu.

*) Letourneau: *La guerre dans les diverses races humaines*, tom XVI „Biblioteki antropologicznej," Paryż, L. Bataille.

---

6)

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.

III.

Anna Szarlota Edgren Lefler była rodem ze Sztokholmu i posiadała też zewnętrzne cechy typu kobiet sztokholmskich: była wysoka, barczysta, pewna siebie i trochę kanciasta. Już w usposobieniu jej leżał chłód i krytycyzm, zmysłowość zaś drzemała w niej długo, wogóle bowiem nie jest cechą szwedek północnych.

Była córką rektora i otrzymała wykształcenie gruntowne, trzeźwe, rozleglejsze prawdopodobnie od zwykłego wykształcenia kobiet, ponieważ chowała się z dwoma braćmi, którzy później profesorami byli.

W dziewiętnastym roku ogłosiła pierwsze swoje dzieło, małą dwuaktową sztukę: „Aktorka." Utwór ten przedstawia w ramach ciasnych, plotkarskich stosunków jakiegoś zakątka walkę między miłością a talentem. W rysunku osób jest kilka nieuniknionych wad, wypływających z braku doświadczenia, naturalnego u młodej dziewczki z „dobrej rodziny." Zresztą nic nie ujawnia nowicyuszki. Obserwacya ludzi—nadzwyczaj dokładna, charakterystyka zwięzła, pewna, prawdziwa, uscenizowanie—zręczne. Przejawia się w dziełku tem umysł bystro i logicznie myślący. Lecz mimo wyraźnego talentu pisarskiego, mimo przebijającej wprawy w myśleniu, pytamy, czy ta strona rozumowa najważniejszą jest rzeczą u kobiety i poetki? Najważniejszą rzeczą jest temperament. Ciekawem zaś zagadnieniem, nasuwającem się wobec tych pierwocin autorki, później tak sławnej, jest: ile temperamentu wykazała w tym pierwszym, nieśmiałym kroku?

Albo — ponieważ idzie tu o kobietę— postawmy pytanie jeszcze dokładniej; ile temperamentu nie zdołała stłumić w tym pierwszym nieśmiałym kroku?

To, co w sztuce owej zabarwia widnokrąg purpurowym żarem wschodzącej jutrzenki, jest wielkiem oczekiwaniem miłości. Pisze tu młode dziewczę, które nic jeszcze o miłości nie wie, tyle chyba tylko, że miłość wszystkiem jest dla kobiety. Sama jeszcze jej nie doświadczyła, lecz mądrą główką przeszkody miłości odgadła. Przeszkodą dla miłości jest małomieszczańska potrzeba szukania drogi pewnej. Aktorka połączyć się ma związkiem małżeńskim z synem przyzwoitej, mieszczańskiej rodziny. W całem tem czcigodnem kółku nikt nie umie wyobrazić sobie miłości inaczej, niż opasanej w biały fartuszek z pękiem kluczy gospodarskich u pasa. Kochać znaczy tu—prościeć. Aktorka przyzwyczajona jest do stosunków gorszych, lecz szerszych: dla niej kochać znaczy stać się wielką artystką, wspiąć się na szczyt doskonałości w sztuce. Chce kochać, a nadto grać, narzeczony jej żąda, aby kochała, nadto zaś zajmowała się gospodarstwem. W życiu problemat taki układa i rozwiązuje się najczęściej inaczej. Lecz w dobrze wychowanej wyobraźni osiemnastoletniej Anny Szarloty Leffler tak właśnie się ułożył. Ponieważ on ustąpić nie chce i ona także, ponieważ on nie chce żenić się z aktorką, ona zaś nie chce zostać gospodynią, więc rozchodzą się wśród wzajemnych zapewnień wiecznej platonicznej dla siebie miłości.

Zakończenie jest śmieszne, lecz pomyślane zupełnie poważnie. Przyzwoita literatura damska zawsze dobiega do platonizmu, bez względu na to, z jakiego wychodzi założenia. Dla trzeźwego zaś rozsądku Anny Szarloty Lefler charakterystycznem jest, że starcie to kończy się nie tragicznie, lecz platonicznie. Tragizmu, t. j. tego, co młodym przedstawia się zawsze jako rzecz nadprzyrodzonej wielkości, nie widziała, odrazu bowiem widnokrąg jej przystał do granic środowiska mieszczańskiego, odrazu się w niem zoryentowała i z niem się pogodziła.

Ten brak wyobraźni jest rysem charakterystycznym wszystkich autorek szwedzkich, począwszy od pani Lengren, Fryderyki Bremer i pani Flygare-Carlén.

Wojna, w taki sposób pojmowana, istnieje także w świecie zwierzęcym, zwłaszcza u tych stworzeń, które żyją rozwiniętem życiem gromadnem, np. u mrówek. Ale nie ma ona tam takiego znaczenia, ani tak krwawego charakteru, jak wśród ludzi. Letourneau posuwa się nawet dalej, bo twierdzi, że w łonie pierwotnej, dzikiej ludzkości była rzadszą oraz odznaczała się mniejszem okrucieństwem, niż na wyższych szczeblach rozwoju kulturalnego. W najnowszem swojem dziele usiłuje on dowieść, że pod tym względem ród ludzki cofał się w miarę tego, jak przechodził od niższej kultury do wyższej.

Socyolog francuski rozpoczyna rozbiór wojny od ludów rasy czarnej.

U australczyków, szczepu stojącego dzisiaj najniżej, zwyczaje wojenne wyglądają poniekąd paradoksalnie: klęski, sprawiane przez wojnę, są tam nieznaczne i ograniczone, potyczki zaś odznaczają się tym charakterem prawnej rozprawy, o którym tyle mówi Proudhon w swoim hymnie filozoficznym na cześć kunsztu wojennego — charakterem pojedynku. Letourneau tłomaczy taki stan rzeczy dwoma czynnikami: popierwsze, australczyk żyje gromadami, rozrzuconemi na wielkiej przestrzeni, gruntów jest tam dosyć, niema konieczności dla jednego plemienia rzucać się na inne i zdobywać dodatkowe źródła żywności. Nadto dzikusy N. Holandyi żyją jeszcze w ustroju klanowym, który jest jedynie wyższą postacią stada, właściwego zwierzętom towarzyskim. Węzły solidarności wzajemnej są tam jeszcze bardzo silne i każdy troszczy się o wszystkich. Zemsta za krzywdy, zadane któremuś z członków, przedstawia zwykłą, nawet jedyną pobudkę wojny: idzie tam nie o wytępienie sąsiadów, ale o powetowanie zniewagi. Tylko w niektórych okolicach lądu australskiego wojna przybiera bardziej cywilizowany, tj. dzikszy charakter: jedno plemię poluje na drugie, jako na zwierzynę. Tylko ludzie i mrówki tak zwyrodnili zasadniczą ideę walki z podobnemi sobie istotami! Taka zamiana wojny na polowanie posunęła się jeszcze bardziej u melanezyjczyków: mieszkańców N. Kaledonii, N. Brytanii itd. Wymienione wyspy są gęsto zaludnione, braknie tam zwierzyny czworonożnej i ludy te mogą zaspokoić łaknienie mięsa jeno ucieka-jąc się do ludożerstwa. Wojna staje się osobliwego rodzaju polowaniem, łup jej zaś, jeńcy, bywa pożeranym. Do tej pierwotnej praktyki dołączyły się z czasem inne: mordowanie tylko dla mordu, palenie—dla pożogi. Zresztą nie wyidealizowano tam jeszcze instynktów krwiożerczych. Czarni afrykańczycy, stojący najniżej, znajdują się na szczeblu dzikości melanezyjskiej: idą na wojnę, jako na wyprawę po mięso ludzkie, żołądek i jego potrzeby są tam jedyną pobudką, zachęcającą do napadów. Ale, po za nielicznymi wyjątkami, kultura afrykańska jest wyższą: rolnictwo wydajniejszem, zamożność większa, pokarmu nie brak. Przeto jako pobudka do wojny, występuje najczęściej chęć łupów; jeśli zaś udają się polować na sąsiadów, to dlatego, ażeby zamienić ich na zwierzęta juczne, t. j. niewolników, lub sprzedać jako towar. Okrucieństwo nie zmniejsza się skutkiem takiej zmiany celów, owszem, wzrasta. Do tego przyczynia się jeszcze inna okoliczność. Plemiona afrykańskie wyszły już z okresu organizacyi klasowej, na miejscu gromady powstała centralizacya państwowa, która na wojnie szuka sławy i honorów, bitwa zaś z pojedynku zeszła na wyprawę najezdniczą, w której niema już ani śladu umawianego stosunku: zdrada i podejście grają tam rolę pierwszorzędną.

Podobną ewolucyę przedstawiają dzieje wojny wśród szczepu żółtoskórego, tylko ta różnica tam istnieje, że ludy mongolskie i im pokrewne posunęły się najdalej na drodze rozwoju i tem samem posiadają większy zasób doświadczenia dziejowego, aniżeli nawet białe. Skutkiem tego zjawiły się tam, w pasmie ogniw kolejnych, takie, których nadaremnie poszukiwalibyśmy wśród naszej cywilizacyi. W następstwie tego pobudki wojny są tam złożeńsze, niż te, które dotychczas oglądaliśmy.

Na najniższym szczeblu kultury mongolskiej niema jeszcze wojny, mianowicie u eskimów z krańców północy: człowiek nie pozbył się u nich zdrowych instynktów zwierzęcia i nie poluje na istoty, podobne sobie. Przestrzeni jest sporo, fok w morzu nie braknie dla każdego, solidarność i miłość wzajemna wiążą członków gromady pomiędzy sobą i nie dopuszczają do tego, ażeby obojętnie patrzano na śmierć współrodaków. Nie jest to wszakże wynikiem jakiejś wyjątkowej natury człowieka tamtejszego, lecz tylko warunków otoczenia, bo na wschodzie Azyi, u kamczadalskiego odłamu eskimów, gdzie ludność jest gęstszą, potyczki są już częstemi, chociaż zwykle zachowały jeszcze formę umówionego pojedynku pomiędzy gromadami. Na wyższym szczeblu uspołecznienia, tam, gdzie miejscowe źródła utrzymania nie pokrywają potrzeb ludności, a zatem w N. Zelandyi, na archipelagu markizańskim itd., wojna zamienia się na polowanie i uczty ludożercze je wieńczą. Jeszcze wyżej widzimy to samo, co u najbardziej posuniętych ludów Afryki: zjawiają się tam zorganizowane wyprawy, kierowane przez wodzów. Grabież sąsiadów i obracanie ich na niewolników i hołdowników, składających daniny, stały się dążnością ogólną. Wojna odznacza się okrucieństwem tylko dla okrucieństwa, sława otacza pogromców, takich jak Attyla, Dżyngishan i maskuje istotne cele. Wreszcie na najwyższym szczeblu kulturalnym, do którego doszła rasa żółtoskóra, mianowicie w Tybecie i w Chinach, z wojny spada wszelka aureola, która ją otaczała niegdyś. Ludy te zrozumiały, że krew ludzka jest zbyt cenną, ażeby rozlewać ją jak wodę. W Tybecie religia sprawiła taki przewrót w pojęciach, w Chinach zaś zdrowy rozsądek i stuletnia cywilizacya, która tem samem nauczyła się dużo i z doświadczeń dziejowych umiała wyciągnąć należyte wnioski. Synowie mocarstwa Środkowego bynajmniej nie są tchórzami, bo taką pogardę dla śmierci i taki spokój w chwili skonu, jak u chińczyków, spotykamy bardzo rzadko. Zbywa im na instynkcie uśmiercania sąsiadów i na chęci umierania samym. Uznali oni, że wojna jest bardzo ryzykownym i mało produkcyjnym zarobkiem. Od eskimów do chińczyków ciągnie się pasmo stanów pośrednich: w środku zaciętość jest silną, na obu zaś krańcach ewolucyi nie istnieje zupełnie, u eskimów dlatego, że niema tam jeszcze pobudki do wypraw wojennych, u chińczyków zaś — że z doświadczenia nauczyli się oceniać nizko jej wydajność. W tem pasmie ogniw ewolucyjnych niema miejsca na zwyczaje czerwonoskórych Ameryki północnej, dla których wojna jest narkotykiem, jak gdzieindziej alkoholizm, okrutnym i oszołamiającym, krwa-

---

W kilka lat później Anna Leffler napisała trzyaktową sztukę p. t. „Elfa.“ Dwa pierwsze akty tego utworu stanowią najlepszy klucz do własnej jej psychologii. Wystawiono go po raz pierwszy w r. 1881, powstał jednak prawdopodobnie wkrótce po jej ślubie, którym ze względów rozumowych związała się w r. 1872 z wyższym urzędnikiem państwowym—Edgrenem.

IV.

Pani Edgren była jedną z tych kobiet prostych, dumnych, które nie umieją płynąć naprzód na fali ludzkiego współczucia. Nie mędrkowała nad osobą swoją, okazywała się taką, jaką istotnie była. Najbliższą drogą, o własnych siłach, zdążała ku temu co osiągnąć chciała. Pisząc, przetrawiała własne swoje wrażenia, posiłkowała się własnym sądem i poglądami własnymi. Sobie samej wszystko zawdzięczać chciała. Lecz była kobietą. I mimo bystrego, jasnego swego rozumu niedostatecznie rozważyła co znaczy, jeżeli kobieta, sama, zrobić chce literacką karyerę. Zrobiła ją. Lecz musiała złożyć ofiarę, a ofiarą tą było własne jej najwewnętrzniejsze życie. Musiała coś stłumić i stłumiła najszczerszą swoję tęsknotę. Musiała coś zniszczyć i zniszczyła wielki, prawdziwy swój artyzm.

Nie znam rozkoszy doskonalszej nad czytanie autorów współczesnych. Zaciekawia nas nie to, co starają się nam powiedzieć, lecz to, co ukryć pragną. Pisząc książki, piszą dzieje wewnętrznego swego życia. Otwierasz książkę i czytasz dwadzieścia wierszy. W tempie i w tonie tych dwudziestu wierszy czujesz tętno i ciepło danego autora. Podobnie jak wprawne ucho muzykalne w orkiestrze dosłyszy jeden jedyny ton fałszywy, tak i wprawny instynkt psychologiczny w doskonałej nawet technice poetyckiej rozpozna, co jest prawdziwe, a co sztuczne i wyczuje, gdzie autor przemawia z ciepłem serdecznem, a gdzie je tylko udaje; pod świadomą i nieświadomą maską dojrzy temperament, osądzi wreszcie, że tu ma przed sobą prawdziwy metal, tam zaś złą jakąś mieszaninę, którą autor siebie i innych oszukać pragnie.

Kobieta zaś, pragnąca pisać bez ochronnej tarczy — mężczyzny i bez jego pieszczoty, biedną jest, rozdwojoną istotą. Tego, co żarem najwięcej duszę jej strawia, co najgłośniej by się z niej odezwać chciało, wypowiedzieć jej nie wolno. Wielki poeta zawsze, pisząc, łamie konwenans i zmusza go, aby się przed nim ukorzył. Samowolna atoli kobieta konwenansu łamać nie może, on bowiem jedyną jest jej podporą. I konwenans nietylko poza nią, lecz i w niej samej leży. Jest on najserdeczniejszym wstydem niewieścim, wytyczną jej czucia, siłą, od której nic jej nie uwalnia, prócz miłości. Dlatego miłość jest wielkim losem kobiety, w tem silniejszym stopniu im silniej kobieta od natury jest obdarzoną.

Na tym to konflikcie osnuła pani Edgren najciekawszą i najgłębszą swoją sztukę: „Sylfidę“ oraz dwie najciekawsze i najgłębsze nowele swoje: „Aurorę Bunge“ i „Kobiecość i erotykę.“ W żadnej z innych jej prac głęboki ton duszy nie drży tak wyraźnie, a zarazem tak trwożliwie. Utwory te tętnią rażnem, ruchliwem, nerwowem życiem, sympatycznie odbijającem od ironicznego spokoju lub głuchej energii innych jej dzieł. W pracach tych złożyła siebie, jako całkowitego człowieka i najwdzięczniejszy urok swój kobiecy; w innych—znajdujemy bystrą jej spostrzegawczość, spoglądającą z wyżyn krytykę, oburzenie etyczne, szlachetny dowcip—wogóle różne przymioty, które składają się na sławę. Lecz w owych trzech wymienionych utworach jest też całe jej przywiązanie do konwenansu, w takim stopniu, w jakim nie widzimy go u niej nigdzie. Czytając „Sylfidę,“ Kobiecość i erotykę,“ i „Aurorę Bunge,“ zdaje ci się, jakobyś miał przed sobą pięknego, wielkiego ptaka, chorego, który wypadłszy z gniazda, skacze po podwórzu ze zwichniętemi skrzydłami.

(D. c. n.).

wym i rycerskim. Że nie o grabież tam idzie, pochodzi to z niskiego stopnia kultury; to zaś, że istnieją u indyan podczas wojny uczucia podnioślejsze, wypływa z ich organizacyi rodowej.

Rasy białe, chociaż dotychczas wykazały najwięcej zdolności do postępu, nie doszły do tego stopnia rozwoju, na jakim znaleźliśmy chińczyków. Spotykane zwyczaje świadczą, że ten szczep rodu ludzkiego podlegał w przeszłości tym samym prawom, co czarny i żółty. I on także, w okresie początkowej kultury, nie znał innej wojny, prócz wyznaczonego z góry pojedynku pomiędzy gromadami, czującemi do siebie pewną niechęć. Widzimy przeżytki takiego stanu rzeczy u berberów, którzy stoją najbliżej pierwotnego klanu. U arabów natomiast wyprawy wojenne, przedsiębrane dla łupieży i rozboju, są na porządku dziennym. Wzajemne zapasy pomiędzy sąsiadami toczą się bezustannie i doprowadzają do wygórowanej nienawiści plemiennej: każda gromada żyje tylko dla siebie, uważając sąsiadów za materyał dla grabieży. W takiej atmosferze przyszedł na świat prorok, który te widnokręgi życia plemiennego roztoczył nad światem całym. Z jego słów Allah został wielkim wojownikiem, który przez usta Mahometa rozkazał połączyć się wszystkim wiernym, iść na wyprawę po całej ziemi, plądrować inne kraje i łupić giaurów. Wojna staje się świętem posłannictwem, powinnością wyznawców. Taki sam charakter posiada ona u asyryjczyków.

I w odłamie aryjskim rzeczy rozwijały się według ogólnego szematu. U osetynów waśnie wzajemne rozstrzygały się na drodze prawnej. U aryów wschodnich, tych, o których opowiadają nam wedy, wyprawy łupieżcze stanowią już jądro życia plemiennego; kiedy zaś z rozproszonych klanów powstały państwa, wojna zamienia się na rzemiosło warstwy wyższej, która z tego źródła czerpie skarby i znaczenie swoje. W Sparcie, za pomocą odpowiedniego doboru, usiłowano z całego narodu wytworzyć specyalne rasy — nieugiętych wojaków. Próba powiodła się. „Doświadczenie — powiada Letourneau — dowodzi, że starania tego samego rodzaju, ale podjęte z większym zasobem wiedzy o człowieku i dla celów podnioślejszych, mogłyby zupełnie przekształcić naturę ludzką i przygotować ją do zadań szlachetniejszych. Z tego powodu przedstawia ono dla socyologa próbę bardzo nauczającą.“ Rzym wziął sobie Spartę za przykład, chociaż nie naśladował jej wzorów w zakresie systematycznego a celowego doboru. Wojna była tam osobliwym rodzajem zarobku, i historya grodu nad Tybrem—to tylko przetwarzanie się wewnętrznej organizacyi państwowej odpowiednio do skutków, wywoływanych przez ten sposób produkcyi, majątku narodowego w codziennem i publicznem życiu obywateli. Praktyki wojenne barbarzyńców Europy odtwarzają zwyczaje obecnych dzikusów. Znajdujemy tam i pojedynki klanowe, i polowanie na zwierzynę ludzką dla pożarcia mięsa, i wyprawy po łupy, aż póki nie skończyło się wielkim rabunkiem dziejowym, mianowicie podziałem państwa rzymskiego. Na gruzach rozbitej cywilizacyi powstał feodalizm, wojna przybiera formę odmienną, lecz cele pozostają dawne. Przechodzą wieki, nie przynosząc innej zmiany, jeno tę, że narzędzia mordu doskonalą się, bitwy są krwawsze, nawet wygrane stają się klęskami z powodu poniesionych wysiłków. Dopiero w ostatnich czasach cywilizacya europejska zaczęła przemyśliwać o sądach rozjemczych i wkraczać na drogę, po której Chiny dążą oddawna. Idzie to jednak tępo i nie zbywa wojnie na rzecznikach, którzy usiłują nadać jej, jak de Maistre, pozory instytucyi świętej, lub, jak Proudhon — opatrznościowej.

W pewnym ustępie swojego dzieła K. Letourneau zadaje szereg pytań:

„Czy w łonie ludzkości wojna przedstawia jeden z niezbędnych środków walki o byt i wzajemnej konkurencyi? Czy klęski, przez nią sprowadzane, bywają pokrywane dobroczynnymi jej skutkami? Czy stanowi ona dodatnią dźwignię doboru i czy zalety moralne ludu i ich poziom umysłowy dają im jakąkolwiek rękojmię przeciwko postępowi i sile brutalnej? Wojna niewątpliwie przyczyniła się do upadku i do powstania wielu państw. Ale czy te, które powstały za jego pomocą, koniecznie potrzebowały przelewu krwi? Często powiadają, że wojna jest wielką odrodzicielką moralną, że wzmacnia najszlachetniejsze porywy serca ludzkiego: odwagę, altruizm, duch poświęcenia i ofiarność. Ale czy zawsze tak bywa i czy dla pobierania lekcyj oddania się, bezinteresowności, śmiałości, człowiek nie znalazłby lepszej szkoły, niż pole bitwy?“

Socyolog francuski odpowiada na te pytania, dowodząc, że wojna stanowi tylko przejściową fazę w rozwoju rodu ludzkiego i że w lepszej przyszłości zniknie krwawy sposób wzajemnego obrachunku pomiędzy narodami.

L.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Oscar Wilde i przemysł literacki w Anglii.

„Qualis artifex pereat!“—niechcący przychodzi na myśl, gdy dumamy o Wildem. Ale mylą się ci, co go uważają za drobnego Nerona On jest tak zwodniczy, iż portretu po hwycić nie sposób. Jego wyznania—tak częste—są zwykle ironią, jego ironie są nieraz spowiedzią. Np. gdy w swych „Intencyach“—zbiorze szkiców nader cennych—dowodzi, iż kłamstwo nie jest bynajmniej wadą, lecz i owszem, cnotą, że morderstwo jest sztuką, w której artyści starannie ćwiczyć się powinni, można to było uważać za paradoksy bez następstw, ale, niestety, te paradoksy tak banalnie i tak boleśnie niedawno na nim się urzeczywistniły! Zresztą sądzimy, iż najgłośniej przemawiała w nim zawsze chęć wzbudzenia podziwu i naiwna, wprost dziecinna, niewybredność w wyborze środków, prowadzących do tego celu. Poczęści także złośliwa i jakby zastowana z głęboką pogardą do świata, w którym reklama panuje.

Można zapytać, czy Wilde nie posiadał innych, godniejszych sposobów zwrócenia na siebie uwagi? Miał je w stopniu wysokim. Wszyscy zgodnie przyznają, iż jest on największym artystą słowa w obecnej Anglii i genialnym, czarującym marzycielem.

Oto np. sąd wyrażony w *Novel Review*: Styl Wildego jest muzyką astralną: możnaby sądzić, iż żył i podsłuchał ją niegdyś w Egipcie, w Syryi, Atenach uwieńczonych fiołkami lub w kwiecistem mieście Dantego. Ale wolimy myśleć, że mieszkał w jakiejś czarnej, kolosalnej świątyni Izydy, iż był czystym kapłanem w płaszczu koloru szafranowego, i spoglądał w oczy sfinksów oczami także subtelnemi, jak ich własne; iż kroczył wraz ze Zbawicielem pośród białych lilij dolin Palestyny; rozmawiał z Sofoklesem w białej Kolonnie; słuchał w towarzystwie Sokratesa pochwały miłości, wypowiedzianej przez Agathona na bankiecie, który nam opisuje boski Plato. Widział odrodzenie rzeczy Feniksa z popiołów i rozumie znaczenie wszystkiego. Uwielbiał ibisy i węże na wyspie Prosopidzie. Znał rytuały Melitty; zasiadał przy stole Galilei i łamał chleb z Panem; karmił wróble Afrodyty w jej świątyni z marmuru w Paphos.“

Kogoby raziło wprowadzenie Wildego do towarzystwa Zbawiciela, niech się pociesza, iż mógł tam być w roli Judasza, rola, której utalentowany autor napewno by się nie wyrzekł. Powyższy dytyramb bynajmniej nie jest przesadzony i daje pojęcie o zadziwiającem bogactwie tego ducha, przyznanem przez krytyków tak poważnych jak Andre w Lang.

Czemu więc autor, obficie przez naturę wyposażony, nie używał tych darów wspaniałych dla dopięcia powodzenia i sławy? Dla tego iż przy obecnych warunkach literatura stała się w Anglii handlem, przemysłem i powodzenie znajduje się w stosunku odwrotnym do talentu. Fakty, malujące to położenie rzeczy podajemy, by nie przerywać sobie wątku w końcu artykułu. Przy takich warunkach artysta z talentem skazany jest na pracę dla drobnego stosunkowo kółka delikatnych śród inteligencyi, którzy zresztą rozdzierani są przez zazdrość, najszczęśliwsi, gdy on znika nareszcie w jakiejś katastrofie. Praca na tem ograniczonem i niewdzięcznem polu, jeżeli daje nareszcie pisarzowi sławę i powodzenie, to—o ironio!—wówczas, gdy on już utracił smak życia, gdy jest przepełniony goryczą i zniechęceniem, gdy niema już zębów, a zdobył łysinę.

Ileż to znamy pisarzy którzy wstępują do walki, jak młodzi gladyatorowie o sprężystych mięśniach i nieustraszonem oku i po dwudziestu latach mitręgi zdobywają powodzenie, które ma wrzekomo zapewnić im możność stworzenia istotnego dzieła, ale, niestety, wszystkie sprężyny ich ducha są już nadwyrężone i zwichnięte. Żądać zaś od artysty, aby się wyrzekł sławy i powodzenia, a zarazem tworzył, jest także bezsensownem, jak nadzieja, iż krzew wyrwany z ziemi, z której ciągnie naturalne swe soki, będzie kwitnął i dawał owoce. Otóż Wilde nie chciał pędzić życia benedyktyna i, by odrazu spożywać owoce swego talentu, musiał się zniżyć do tłumu. Pisaliśmy kiedyś na tem miejscu o jego dramatach. Podziwiać w nich trzeba ubóstwo, banalność pomysłów — obliczonych na powodzenie śród mas, w oprawie cudownej, mistrzowskiej formy. Czyni to wrażenie pereł rozrzucanych przed trzodą. Jest to rozrzutność zupełnie niepotrzebna, ale w niej wyraża się istotna natura artysty.

Ona mści się zarazem za poniżenie swej królewskości, cynizmem moralnym, plwaniem na wszystko, co dla masy jest święte. By dotrzeć do tłumu, trzeba albo pochlebiać jego instynktowi i przesądom, albo je ranić. Wybrawszy tę ostatnią drogę, autor ustąpił tylko arystokratycznej pogardzie masy, do której zmuszony był zejść i która naraz obdarzyła go złotem i imieniem europejskiem. Gdy pisał swe rozkoszne i marzycielskie poezye, nikt o nim nie wiedział, a gdy wykrztusił z siebie nieznaczny „Wachlarz lady Wildemere,“ sława jego zagrzmiała na wszystkie strony świata. Można sobie łatwo wyobrazić, jaka pogarda i złość musiały w nim wrzeć i jak zagłębiając się coraz bardziej po tej niebezpiecznej drodze zadzierania z tłumem, która dostarczała mu rozgłosu, bogactwa i zadowolenia złośliwości, stanął nareszcie przed kratkami sądu. We wszystkich tych wybrykach, które były raczej pozą, niż czem innem, gdyż nie chroniły się w ukryciu nałogu, lecz i owszem były obliczone na oszołomienie trzody, lepsza szlachetniejsza jego strona, marzyciela i artysty, mściła się nad gorszą wyrachowanego geszefciarza.

To też gdy po pierwszem przedstawieniu „Wachlarza,“ autor na żądanie publiczności pokazał się na scenie z papierosem

w ustach, jego przemówienie tchnęło gorzką ironią: „Spostrzegam z przyjemnością, iż jesteście zachwyceni sztuką. Spodziewam się, iż teraz będziecie umieli mnie ocenić!“

Przy takich warunkach, czuł, iż dzieła jego są wciąż niższe od niego samego. „To tylko filistrzy szacują osobowość artysty według wulgarnego świadectwa jego utworów,“ pisał z powodu swego romansu „Portret Doriana Greya.“ Niesłychane wyszukanie formy wobec treści nieznacznej i cudackiej.

Piękny D. Grey prześladowany jest myślą starości i nieodłącznej od niej brzydoty, która go czeka. Przy wielkich staraniach wymógł od niebios, iż na zawsze zachowa piękne swe oblicze, pod warunkiem wszakże, iż portret jego brzydnąć będzie po każdym złym uczynku. Ten przywilej prześladuje Doriana, jak zmora. Zabija malarza, który zrobił ten portet, zabija osoby, które mogą go podejrzewać o to zabójstwo. Staje się nieznośnym i grubiańskim dla swej kochanki, aktorki Sybil Vane. Nareszcie starając się przebić nieszczęsny portret, utkwił nóż we własnej swej piersi. Portret zachował promienne swe piętno, a on sam, padając zabity, przybiera postać obrzydliwego starca.

Te cudactwa poczęści tylko są zgodne z teoryami wyrażonemi w „Intencyach“: iż sztuka nie powinna być odtworzeniem rzeczywistości, lecz czystą fikcyą, iż powinna gardzić naturą, która jest brzydka i.t.d. głównie szło mu o oszołomienie tłumu, który zamienił literaturę na przemysł, jak nas *Ouida* zapewnia[1]). Większość wydawców, powiada autorka — odznacza się zupełnym brakiem smaku artystycznego. Cobyśmy powiedzieli o kupcu win, którego podniebienie nie mogłoby odróżnić starego węgrzyna od zwykłej lury? W takiem właśnie położeniu znajdują się wydawcy literaccy. Na nich spada odpowiedzialność za sprowadzenie piśmiennictwa angielskiego i amerykańskiego do poziomu mdłych i nieznośnych piśmideł. Weźcie do ręki jakiekolwiekbądź pismo i rzućcie okiem na listę nowości wystawionych dosprzedaży. Na jedną książkę mniej więcej znośną znajdziecie dwadzieścia lichot.

Na zapytanie, czemu należy przypisać taki stan rzeczy, wydawca odpowiada: To zupełnie obojętne, czy książka jest dobrą, czy złą, byleby była *nową*: czytelnie zawsze wezmą pewną ilość egzemplarzy i to wystarcza dla pokrycia kosztów i zysku. Gdy autor jest znany, trzeba mu płacić tak drogo, iż prawie zawsze jesteśmy w stracie. Pisarz z talentem ma tylko wówczas dla nas pewną wartość, gdy sam jej jeszcze nie zna t. j. na początku swej karyery. Później, jeżeli dobijamy się o jego nazwisko w naszych katalogach, to tylko dla reklamy.“

Wydawcy popierają więc chętnie miernotę, gdyż ona lepiej odpowiada smakowi ogółu czytającego i zabezpiecza zyski.

Czytelnie potężnie wpływają na produkcyę śmieci literackich. Abonenci dobijają się tylko wielkiego wyboru dzieł, bez względu na ich jakość: ilość im wystarcza. Nie chcą oni za żadną cenę czytać tego, co z pogardą nazywają „staremi książkami„ Dodać trzeba jeszcze ohydne skutki centralizacyi handlowej. Dwie olbrzymie księgarnie skupiają w swem ręku cały prawie obrót romansów, określając ich cenę, według swego widzimisię. I mogą urzeczywistnić te pretensyę, gdyż cały handel książkowy w Anglii do nich należy. One dostarczają dzieł czytelniom, klubom, towarzystwom, instytutom. Potęga ich jest nieograniczona, dlatego też wywierają ją jedynie w zależności od własnych interesów. Powiadają autorom: „płacimy tyle za tom i ani grosza więcej.“ Dlatego też starają się oni rozwadniać swe pomysły na jaknajwiększą ilość stronic i części. Wszystkie bzdurstwa powieściowe zawierają w Anglii zwykle po trzy tomy. Krytyka niezmiennie powtarza przy rozbiorze każdego dzieła, iż autor rozciąga historyę, która powinnaby być krótką. Nigdy człowiek z talentem do takich wymagań zastosować się nie potrafi; takiej pracy podołać umieją tylko pismakowie najgorszego rodzaju. Powieściopisarstwo stało się w Anglii rzemiosłem. Pod zalewem lichot utracono nawet pojęcie o sztuce w tym zakresie. Przyczynia się do tego także duch prozaiczny rasy angielskiej, który tylko w najwyższych swych przejawach, przybiera formę piękną. W miarę tego jak publiczność czytająca rośnie liczebnie, smak i artyzm stają się zbyteczne.

Dwie powyższe księgarnie nie tylko oznaczają wszechwładnie cenę książek, ale zarazem ich treść i kierunek. One wyrzucają często ze swych zbiorów niektóre książki pod pozorem „niemoralności.“ Pod tym względem zastosowują się tylko do wymagań swej klienteli. I trzeba być wielkim optymistą, aby wierzyć, iż z biegiem czasu cokolwiek pod tym względem się zmieni. I owszem, chcąc poznać, dokąd naturalny rozwój rzeczy podąża, należy zajrzeć do Stanów Zjednoczonych. Tam istnieją już istotne fabryki literackie, które w zupełności przystosowują swe produkty do wymagań tłumu. Oto opis jednego z takich przedsiębiorstw, działających z wielkiem powodzeniem w New-Yorku. Dom ten używa regularnie trzydzieści dam i młodych panien do przeczytywania wszyskich głównych dzienników świata całego. Wypisują one charakterystyczne wypadki, rysy obyczajowe, które nadają się do opracowania powieściowego. Rezultaty tej pracy przechodzą następnie przez kontrolę 3 urzędników, którzy wybierają z niej wszystkie rzeczy bardziej sensacyjne i oddają komitetowi złożonemu z 5 dam, dla ułożenia z nich planów romansów, powieści i nowelek. Materyał ten podlega rozbiorowi dyrektora przedsiębiorstwa, który swoją drogą poleca ich wykonanie jednemu z 200 redaktorów i redaktorek, pracujących w tej fabryce. Wskazaną jest ściśle ilość części, stronic i słów nawet. Wytwory te sprzedawane są następnie wszystkim pismom, czytelniom, księgarniom. Spożycie owego towaru jest olbrzymie i wzrasta z dniem każdym. Najpoważniejsze miesięczniki i domy wydawnicze zamawiają produkty żądanego gatunku w fabrykach, uwalniając w ten sposób literaturę od wszelkich zachcianek i fantazyi autorskich. Jeżeli weźmiemy to zjawisko z punktu widzenia ogólnych teoryi ewolucyi, jest ono pocieszające. Wszak postęp wyraża się w podziale pracy? Pod względem zaś osobowości i piętna jestto obrzydliwość, ohyda: tandeta maszynowa, makulatura, dobra do owijania pieprzu i masła.

L. W.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Teresina Tua. — Katarzyna Jaczynowska. — Józef Śliwiński.

Świadomość zakresu sił własnych, samowiedza tego, czemu podołać jest w stanie, cennemi są dla człowieka zaletami, pozwalają mu bowiem podejmować tylko zadania, którym sprostać może, chronią go od niejednej krzywdy, jaką sobie dobrowolnie wyrządza. Zalety te wszakże spotyka się nieczęsto, a u artystów rzadziej może jeszcze, niż u innych ludzi. Ileż to razy śpiewak, skrzypek czy fortepianista, mieliby najzupełniejsze powodzenie, gdyby na popis publiczny potrafili dobrać, odpowiednio do naturalnego uzdolnienia, partyę operową czy utwór muzyczny.

Rozmyślania te nastręczył nam występ p. Teresiny Tua — obecnej hrabiny Franchi — która po długiej, bo siedmio czy ośmioletniej przerwie, przypomniała się publiczności warszawskiej na zeszłotygodniowym koncercie Towarzystwa muzycznego. Co stanowiło zalety gry tej artystki, która przed laty taką rozgłośną zyskała sobie sławę? Ten pieszczotliwy, miękie pociągnięcie smyczka, technika subtelna, zwłaszcza w trylach, eleganckie frazowanie i powien szyk w wykonaniu. Nie zmężniał jej talent, interpretacya nie przybrała poważniejszego charakteru w ciągu tych lat, które dzielą pierwsze jej występy od popisu obecnego. Odnaleźliśmy na estradzie Towarzystwa tę samą Teresinę Tua ze wszystkiemi właściwościami jej gry, nadającemi się najzupełniej do wykonywania tego rodzaju utworów, co *Air varié* Vieuxtemps'a. Artystka jednak nie pamiętała o tem — objęła programem i *Allegro* z wielką kadencyą z koncertu Beethovena; a o wykonaniu dzieła tego powiedzieć można tylko, że je — *odegrała*. Szyk salonowy i miękki ton nie wystarczają do tłomaczenia myśli tego wielkiego mocarza muzyki. Nokturn Chopina, utwory Wieniawskiego oczywiście o wiele już lepiej wyszły z pod smyczka koncertantki, chociaż w „Mazurku“ więcej było owego właśnie „szyku,“ niż istotnego rytmu i właściwej werwy.

Przeciwieństwem najzupełniejszem włoskiej wiolonistki była jej towarzyszka estradowa, p. Katarzyna Jaczynowska, uczenica Rubinsteina. Ze wszystkich popisów fortepianistek w ostatnich czasach, ten ostatni wydał nam się najbardziej interesującym. Inteligentna, wnikająca ze zrozumieniem w myśl kompozytora, gra młodej wirtuozki, poparta dużem wyrobieniem technicznem, silnem, jędrnem uderzeniem, zapowiada poważną w przyszłości artystkę. Sonata (H-moll) Chopina jest dziełem, wymagającem tak wielkiego, skończonego artyzmu, że daloby się młodej wykonawczyni jeszcze to i owo zarzucić — głównie może chłód nadmierny, który jednak zdaje nam się jest raczej wynikiem zbytniej powściągliwości, niż właściwością wrodzoną. W „Pieśni bez słów“ Mendelssohna, „Kaprysie“ Rubinsteina i *En courant* Godarda, potrafiła artystka uniknąć zarówno przesadnej czułostkowości, jak gonienia za efektami błyskotliwymi.

Józef Śliwiński, zwyczajem przyjętym, ułożył program swego koncertu (d. 15 b. m. w salach Redutowych) z utworów rozmaitych szkół i epok. Począwszy od Jonna Bulla (r. 1563—1628), twórcy hymnu angielskiego *God save the Queen*,—przedstawił słuchaczom jakby całą ewolucyę twórczości muzycznej, wykonywając kolejno dzieła Franciszka Couperin, Jana Filipa Rameau, Dominika Scarlatti'ego; Schuberta, Mendelssohna, Liszta, Chopina i Schumanna. W tak bogatym i różnorodnym programie znalazł artysta obszerne pole do wykazania wszystkich zalet swojej mistrzowskiej gry, w której nadewszystko zdumiewa wielka prostota i niesłychana barwność tonu, tak, że zdawać by się mogło nieraz, iż to nie fortepian, lecz cała orkiestra odzywa się pod palcami wirtuoza. Ta właściwość ujawnia się przedewszystkiem w utworach takich, jak „Fantazya“ (F-moll) Chopina, „Karnawał“ Schumanna, *Wanderer - Phantasie* Schuberta. Słuchając tych dzieł w wykonaniu Śliwińskiego, nieprawdopodobnem niemal się wydaje, że te same palce, które takie potężne dźwięki z klawiszów wydobywają, tak subtelnie rzeźbić potrafią drobiazgi w rodzaju *La Bandoline* Couperin'a i tak melodyjnie śpiewać „bez słów“ z Mendelssohnem.

Publiczność, nienasycona, pomimo wiel-

[1]) *North American Review* 1895.

kiego programu, zmusiła artystę do kilkakrotnych naddatków — i temu się dziwić trudno, że pragnęła jak najdłużej tej gry znakomitej słuchać. Dziwniejsze jest to, że tak nieliczni słuchacze zebrali się w salach Redutowych. Pisaliśmy kiedyś, że warszawianie nie są o tyle muzykalni, aby dla wykonywanych *utworów* chodzić mieli na koncerty, że przyciąga ich zawsze bardziej *wirtuoz*. Omyliliśmy się — tym razem i wirtuoz i dzieła przezeń wykonane mogły zadowolić najbardziej wymagającego, najmuzykalniejszego słuchacza.

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Broszura dr. M. Flauma „O wodzie, piwie i winie“ jest odczytem, w którym autor ponownie występuje przeciw używaniu alkoholu (cena 8 kop.).

— Wyszła broszura p. W. M. Kozłowskiego p. t. „Klasyfikacya umiejętności ze stanowiska potrzeb wykształcenia ogólnego“ (str. 23).

— Wł. R. Korotyński zebrał garść listów L. Kondratowicza i wydał z objaśnieniami oraz uzupełnieniami p. t. *Syrokomla o sobie* (str. 101, T. Paprocki).

— Powieści: Zolca *Fałszywe dźwięki* (str. 160, T. Paprocki); J. K. Zielińskiego *Ofiary* (str. 253, Lwów, Jakubowski i Zadurowicz); P. Hansena *Dziennik Julii*, tłom. K. Bernsteinówna (str. 229, T. Paprocki). Powód przyswajania naszemu piśmiennictwu tej lichej i dziwacznej rzeczy jest dla nas niezrozumiały. Teresy Jadwigi *Z obcych dziejów*, dwie powieści historyczne dla starszych dzieci (str. 249, z ilustracyami, Gebethner i Wolff).

— Wydawnictwa zeszytowe. *Encyklopedyi rolniczej* wyszedł zeszyt 52; *Arcydzieł Szekspira* z. 49—56; *Dziejów powszechnych ilustrowanych* z. 41—52.

— Jako odbitka z *Wisły*, wyszła osobno monografia L. Lissowskiego „Obrzędy weselne w Szolajdach w powiecie kutnowskim“ (str. 65, kop. 75. Dochód przeznaczony na korzyść Wystawy etnograficznej).

— W niezmiernie cennej „Bibliotece przemysłowej,“ wydawanej nakładem H. Wawelberga, ukazał się *Podręcznik mechaniki* dla średnich szkół technicznych i samouków, M. Lauensteina, tłom. p. J. Hoffmana (str. 265, rs. 1 k. 10).

POEZYE.

LEGENDA O POEZYI.

I.

Szukali rytmu dla tej, co jak duch skrzydlata,
Zaklętej w łonie ich piosonki;
Przed nimi *epopeja* pierwotnego świata
Olbrzymie roztoczała wdzięki.

Z przepaści niezgłębionych ziemi
Wulkanów młodych buchał żar
Gromami *jak pieśń* harfowemi,
Co pełne *tęmp i miar*.

Wplątane żywioły, w wir jakiś wesoły,
Jak gdyby szatany z *ballady* w tan,
Szalały wśród dzikiej gromów *muzyki*,
W potopie błyskawic, w chaosie zmian.

Elegią żałosną te sosny, co rosną
Na górach, szumiały im tęsknie wciąż;
I szarfą błękitną, gdzie zioła łąk kwitną,
Biegł strumień i *śpiewał* jak z baśni wąż.

Wśród brzasku rannego, gdy ciche sny biegą
Nad wodą, co tonie roschyla,
Z lilii kielicha wstawała cicha
Idyla.

W tych rytmów powodzi, ci tęskni i młodzi
Zrenicą w zrenicy tonęli już,
Aż z rytmów zrodzona owiała ich łona
Harmonia pierwsza dusz...

II.

Słuchali, w tęczę zjawisk, w potop barw wpatrzeni,
Jak gdyby w nieskończone *drama*.
Płacz istnień, chór *tragedyi* do nich biegł z przestrzeni,
Jak gdyby łkała przestrzeń sama.

Ocean bił o niebo wiecznym *hymnem*
I na pobrzeżu cichą falą *grał*,
Jak gdyby w jego łonie zimnem
Wzbierały ból i szał.

Huragan przed nimi *dytyramb* olbrzymi
Grzmiał w koło, zmącając aż do dna toń,
Ucichło, i słońce, blaskiem *grające*,
Pieściło promykiem ich białą skroń...

A kaskad warkocze z skał wiały urocze,
Jak *jamby* z kryształu, gdzie bukiet palm,
I wietrzyk z pustyni szmer tęskny w nich czynił,
Jak gdyby na skrzydłach unosił *psalm*.

Już zorza wstydliwa mgłą rąbek okrywa,
Ozłocił już księżyc niebiosa,
Z serc, z kwiatów bez końca *pieśń* mknęła drżąca
Erosa.

I ucho w tej ciszy *harmonię* serc słyszy
Pieśń, którą śpiewała natura im:
Aż w całus nieśmiały ich usta się zlały
I powstał pierwszy *rym*.

Józef Stanisław Wierzbicki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

W bardzo smutnem położeniu znalazłoby się Towarzystwo historyczne, gdyby nie pomoc, okazana mu na drodze materyalnej przez kuratoryę zakładu naukowego imienia Ossolińskich. Towarzystwo historyczne, jak sam tytuł wskazuje, ma na celu wyłącznie tylko naukę i trzeba przyznać, że na tej drodze pracuje usilnie, wytrwale i pożytecznie. Na czele jego stoi jeden z najdzielniejszych historyków, obdarzony umysłem jasnym, krytycznym i bystrym — profesor uniwersytetu lwowskiego, dr. Tad. Wojciechowski, a sekretarzem jest dr. Ludwik Finkel. Wydaje ono swoje pismo p. t. *Kwartalnik historyczny*, bezwarunkowo najlepsze, jakie w zakresie literatury historycznej posiadamy, które zdołało pod swoim sztandarem skupić prawie wszystkie siły umysłowe, w tej dziedzinie pracujące. Redakcya otrzymuje 142 czasopism historycznych w językach: angielskim, czeskim, francuskim, hiszpańskim, holenderskim, niemieckim, polskim, serbskim, szwedzkim, włoskim. Wszystko to razem wzięte, ułatwia dokładny przegląd najnowszych prac historycznych i tworzy powoli bogatą skarbnicę dla pracujących na polu historyi. Ilość czasopism nabytych bądź drogą prenumeraty, bądź wymiany, już w r. 1892 była tak wielką, że poprzedni redaktor, dr. Oswald Balzer, postanowił utworzyć „Bibliotekę czasopism historycznych,“ która pod jego kierunkiem nadal pozostaje i wzbogaca się ciągle.

Niezależnie od tego redakcya *Kwartalnika historycznego*, jako dodatek bezpłatny, daje swoim prenumeratorom i członkom rocznie tom materyałów. Dwa znajdują się już w posiadaniu członków, a trzeci, p. t. *Historya kościoła ruskiego*, przez metropolitę Kiszkę, już jest zupełnie przygotowany do druku.

Pozwoliłem sobie przytoczyć trochę szczegółów z życia i działalności instytucyi, ażeby czytelnik wierzył nie słowom, lecz faktom.

A jednak ta instytucya walczyła z brakiem środków materyalnych i nie wiadomo, czem by się to zakończyło, gdyby z pomocą, bardzo hojną, nie przyszedł jej kurator zakładu narodowego imienia Ossolińskich, książę Lubomirski. Dodać muszę, że już w latach poprzednich Towarzystwo histor. otrzymywało rocznie od sejmu 700 złr. zasiłku. Mniej więcej przed rokiem kurator zakładu oświadczył redakcyi, że przyjmuje na swój koszt rachunek druku *Kwartalnika*, to znaczy, że drukarnia zakładu nie będzie pobierać żadnej należytości ani za druk, ani za papier. To dopiero umożebniło wydawnictwu istnienie bez kłopotów.

Pomimo tych wszystkich usiłowań, liczba abonentów jego dosięgła tylko 314. Łatwo wymówić tę sumę, lecz ile ona w sobie treści zawiera i jakiej smutnej! W kraju, posiadającym dwa uniwersytety, liczące każdy około 2 tys. słuchaczów, dwie politechniki, kilka szkół wyższych, kilkadziesiąt średnich z całym personelem naukowym, posad autonomicznych i rządowych, zajętych przez ludzi z wykształceniem uniwersyteckiem — śród tego szerokiego koła inteligencyi znalazło się tylko 314 ludzi, którzy zdecydowali się wydać po cztery guldeny rocznie!..

Wspomniałem o Ossolineum z powodu koleżeńskiej solidarności, jakiej dał dowody kurator, ks. Lubomirski. Skorzystałem z tej sposobności, ażeby mówić dalej o tej jedynej instytucyi naukowej, która dzięki różnym szczęśliwym okolicznościom nie padła ofiarą chciwości austryackiej, lecz przetrwawszy ciężkie chwile w życiu swojem, dziś rozwija cały zasób długo gromadzonych sił materyalnych i skarbów naukowych, oddanych na użytek publiczny. Jest ona o tyle szczęśliwsza od pokrewnych sobie instytucyj, że stoi o własnych siłach, trwale i dlatego rozwijać się może. Ossolineum posiada w majątku nieruchomym, mianowicie w zapisach, zbiorach naukowych, sprzętach i t. d. kapitał 524,031 złr., w papierach wartościowych 370,326 złr., w gotówce 15,070 złr. Oprócz tego, jedną z najlepiej urządzonych we Lwowie drukarni i prowadzi wydawnictwo książek szkolnych, na którego czele stoi Władysław Bełza.

Dawniej, jak wiadomo, Ossolineum wydawało swoje czasopismo, poświęcone historyi i literaturze, w którem można było spotkać wszystkie nazwiska, zapisane później zaszczytnie na polu pracy naukowej lub artystycznej. Kto zechce badać historyę rozwoju literatury w Galicyi, ten w czasopismach Ossolineum, jako też w Bibliotece znajdzie najbogatszy materyał. Nie byłoby źle i dla Biblioteki i dla publiczności, gdyby Ossolineum do tej dawnej a pięknej tradycyi powróciło. W księgozbiorze swoim posiada ono skarby, dopraszające się druku, a w składzie sił własnych naukowych wystarczającą rękojmię, że podjęte zadanie spełnić by mogło.

Na czele tej instytucyi stoi dr. Kętrzyński, znany badacz pierwotnych dziejów Polski, kustoszem jest dr. Hirschberg (pracujący teraz nad epoką niezmiernie ciekawą i ponętną — fałszywego cara Dymitra), skryptorem dr. Bruchnalski, którego studya nad Mickiewiczem posłużyły za podstawę do pracy jednemu z tutejszych krytyków; wice-kustoszem dr. Czernik. Już tak poważny zastęp uczonych, znanych w świecie naukowym, dałby dostateczną rękojmię, że czasopismo, wydawane przez Ossolineum, przyniosłoby wielki pożytek. A przecie znalazłoby się jeszcze sporo grono sił młodszych, bądź pracujących w Bibliotece, bądź po za jej obrębem.

Ustawiczny jej rozwój, jako instytucyi naukowej, świadczy o zabiegliwości kuratoryi i łączności między pracownikami a instytucyą. Co rok spora garstka uczonych różnej narodowości przyjeżdża do Ossolineum dla studyów na polu dziejowem. Jedna z najważniejszych prac zakładu, katalog realny, układany wytrwale i umiejętnie przez dr. Bruchnalskiego, jest już prawie na ukończeniu. Sześć-

dziesiąt tysięcy tytułów, mieszczących się w 80 pudełkach, już oddano do użytku publicznego. Podzielony jest na 16 części: językoznawstwo, literatura, historya literatury, historya szkół i szkolnictwo, etnografia i etnologia, teologia, historya kościoła, prawo polskie, historya polska, kalendarze i kalendarstwo, nauki przyrodnicze, weterynarya, wojskowość, sztuki piękne i wreszcie gospodarstwo. Reszta dzieł, około 25 tys., pozostaje jeszcze do uporządkowania.

Bogaty dział numizmatyczny, leżący bardzo długi czas odłogiem, także prawie zupełnie do porządku przyprowadzony, tak że praca w tym dziale stała się możebną.

Nie myślę i nie mogę dawać sprawozdania o obecnem położeniu tej instytucyi; pragnę tylko zwrócić na nią uwagę ludzi, pracujących na polu historyi, literatury, numizmatyki, którzy tam znajdą bogaty materyał do dziejów.

Cho.

OPIEKA NAD DZIEĆMI.

Dziś, gdy u nas opinia publiczna i prawo zajmują się coraz bardziej dziećmi wszelkiego rodzaju, warto w tym dziale stosunków rozejrzeć się na Zachodzie. Przedewszystkiem na uwagę zasługują domy podrzutków we Francyi. R. 1791 Zgromadzenie narodowe postanowiło, aby społeczeństwo przyjęło na siebie obowiązek opieki nad podrzutkami, a we dwa lata później wydano prawo, na którego mocy każdy obywatel mógł żądać, aby jego dzieci chowano były na koszt narodu. R. 1804 zaprowadzono w Lyonie pierwszy żłobek, a Napoleon z bardzo zrozumiałych względów (wielkie mordercze wojny pochłaniały ludność i wymagały ochrony pozostałej) r. 1811 zaprowadził obowiązkowo takie urządzenia w każdem „arrondissement," tak iż ogółem powstało ich 251. Nic więc dziwnego, że liczba podrzutków (w 1784 r. 40,000) wzrosła w r. 1833 do 130,945, a koszt utrzymania do 10 mil. fr. rocznie. Od tej chwili następuje zanik instytucyi; r. 1860 liczono we Francyi 175 żłobków, dziś niema ich prawie wcale. Matki znajdują się pod ścisłą kontrolą, ale natomiast otrzymują przez pierwsze trzy lata życia dziecka zapomogę; w ten sposób około 20 tys. dzieci korzysta z opieki publicznej. To samo widzimy w Belgii, gdzie matki, nie posiadające mężów, otrzymują przez trzy lata 25 fr. miesięcznie, o ile same karmią i wychowują dzieci. Podobnie ukształtowały się stosunki w innych krajach (w Austryi). We Włoszech żłobki jeszcze są popierane, ale i tam zapewne niedługie będzie ich istnienie. Potępiając bezużyteczność tych urządzeń, należy zdawać sprawę z warunków, w jakich się rozwijały. Były to zawsze zakłady okropne pod względem hygienicznym. Śmiertelność wynosiła w nich 60—80%, a były i takie, gdzie ze stu wychowańców dwu zaledwie przeżywało czternasty rok; panowały tam najbardziej mordercze epidemie. Wywołało to surową reakcyę przeciwko żłobkom. Zdaje się jednak, że zamiast w przyczynę, uderzono w skutek; widziano tylko rezultaty, nie zwróciwszy uwagi na to, że wypływały one, być może, wcale nie z systemu.

W Niemczech rozwój szedł inną drogą. Tam instytucya żłobków nie przyjęła się zupełnie, co poniekąd przypisać należy zasadzie prawa niemieckiego, które zobowiązuje ojców do płacenia alimentów. Praktyka atoli wskazała, że ta droga do celu nie prowadzi: matki „panny" rzadko tylko pozywają ojców o koszty, przyczem według zwyczajów niemieckich, przysądzano niewielkie sumy. Obecny projekt ustawy cywilnej dla państwa niemieckiego wprowadza tutaj wiele dobrego. Utrzymanie, jakie obowiązany jest dać ojciec, obejmuje całokształt potrzeb materyalnych, wychowawczych i przygotowawczych do przyszłego zawodu. Alimenty płacić jest obowiązany aż do 16-go roku życia dziecka, przyczem ponosi koszty porodu i sześciotygodniowego utrzymania położnicy i dziecka za kwartał pierwszy — z góry, przed porodem. Sąd może wydać w każdej chwili stosowne rozporządzenie. Pomimo całego postępu, prawo to zawiera jeden z najważniejszych błędów dawnych, który tkwi w samym procesie otrzymywania alimentów. Zazwyczaj wstyd nie pozwala dziewczynie odwołać się do pomocy sądu, albo nie wie ona, gdzie się ojciec znajduje, wreszcie musi z wyrokiem w ręku ściągać każdą ratę oddzielnie. W końcu proces wymaga pomocy adwokata i trwa od jednego do trzech miesięcy. To też w Lipsku np. zaledwie czwarta część mających prawo do tego, korzysta z pomocy sądu.

Smutne, zaprawdę, są losy dziecka „bez ojca" na bruku wielkomiejskim. Matka — robotnica zazwyczaj — przy pracy, nie ma czasu dla doglądania swej dzieciny, a gdy zarobku zabraknie, żywić ją tylko może własnym głodem i własnemi łzami. Śmiertelność śród takich niemowląt jest straszna. W Berlinie 40% nie przeżywa roku, najwięcej bywa martwo urodzonych. Statystyk niemiecki, prof. Boeckh, obliczył, że śmiertelność dzieci, żywionych mlekiem zwierzęcem, jest sześć razy większa, niż karmionych piersią matki. Zazwyczaj trzecia część niemowląt oddawana jest „na garnuszek" po za granice miasta i to w pierwszym kwartale życia. Matki obowiązują się płacić w pierwszym roku 15, w następnych 10—12 marek miesięcznie. I w Niemczech ujawniano nieraz smutną rolę „fabryk aniołków"; mimo to wielu badaczy stwierdziło bardzo żywą ofiarność tych rodzin, które przyjmują dzieci na wychowanie, połączone niekiedy z materyalnym nakładem własnym, gdy matki np. w czasach zastoju nie mają pracy. Owe atoli okrutne doświadczenia, których my zakosztowaliśmy w sprawie Skublińskiej, wywołały nadzór lekarski i policyjny nad wychowańcami. W Anglii uczyniło to już r. 1872 „Infant life protection act," we Francyi — gdzie w samym Paryżu rok rocznie 20,000 dzieci bywa wysyłanych do okolic, w r. 1874 oddano tam pod opiekę prawa wszystkie takie niemowlęta poniżej dwu lat wieku. W różnych dzielnicach Niemiec rozciągnięto ten dozór i nad czetero i sześcioletniemi. Gdzieniegdzie udało się zachęcić do odwiedzania owych dzieci kobiety z różnych stowarzyszeń filantropijnych z rezultatem pomyślnym. Gdzie jednak, jak w wielkich miastach (Berlin, Lipsk, Drezno) pozostawiono to organom policyi, tam opieka nie przyniosła pożądanych owoców. Ważne znaczenie kontrola zdrowotna, wprowadzona w kilku miastach niemieckich. Nadzór ten spełnia lekarz, który ma do pomocy siedem wyspecyalizowanych dozorczyń. Każde dziecko, oddawane na wychowanie, musi mu być przedstawione w pierwszy piątek po przyjęciu. Po oględzinach, w razie potrzeby (w wypadku np. przymiotu) chore niemowlę natychmiast odsyłane jest do szpitala. W ciągu następnych ośmiu dni lekarz odwiedza sam mieszkanie rodziców przybranych i sprawdza, czy odpowiada ono warunkom hygienicznym, poczem w oznaczonych odstępach czasu czynią to dozorczynie. Każda „matka" otrzymuje książkę, gdzie prócz uwag lekarza i dozorczyń, znajduje wykład postępowania względem dziecka. Instytucya lipska ma jeszcze jedną wyjątkowo ważną zaletę: Połączyła się ona ze „Stowarzyszeniami opieki nad ubogimi" i tym sposobem, w razie jeżeli matki faktycznie za dzieci swe płacić nie mogą, pośredniczy w udzielaniu zapomóg. Kobieta wezwana do zarządu, musi przedstawić stosunki majątkowe i wskazać ojca, który z obawy przed stowarzyszeniem urzędowem, płaci regularnie swoje składki alimentacyjne. Obecnie nawet cała ta procedura odbywa się natychmiast przy oddawaniu dziecka. Skargi alimentacyjne stały się coraz rzadszemi, a ojcowie wnoszą zapomogi wprost do Stowarzyszenia opieki nad biednymi. W ten sposób zyskano dużo czasu i nadano całej operacyi charakter istotnej opieki nad opuszczonemi i bezbronnemi. Raz do roku odbywa się przegląd ogólny dzieci. Jest to także bodziec dla wychowawczyń do wzajemnego prześcigania się w staranności. Najlepsze matki otrzymują nagrody.

Drezno poszło za przykładem Lipska, ze skutkiem jak najpomyślniejszym pod względem sanitarnym. Po tych ulepszeniach pójdą dalsze. Opieka będzie rozciągnięta i nad dziećmi, pozostającemi na wychowaniu u krewnych matki, oraz nad tymi, którzy za sumę ryczałtową podejmują się wychowania, wreszcie nad dziećmi prawego pochodzenia, oddanemi przez rodziców obcym.

Humanus.

NASZA HYGIENA.

I.

Czem jest u nas hygiena? — Tułaczką, wygnaną z życia, wycierającą przedsionki prasy i — niemal żebraczką w świecie wydawniczym. Nie weszła ona ani w krew, ani w umysły ogółu, nie zawarła z nim przyjaźni. A gdy w ostateczności chce zajrzeć pod strzechy ubóstwa, musi sobie drogę torować przy pomocy komisyj sanitarno - policyjnych, otwierać przebojem zaryglowane drzwi nędzarzy i... przedsiębiorców, opierających swój byt i powodzenie na wysysaniu zdrowia publicznego. Sponiewierana i odepchnięta, nie znalazła dotąd wstępu do szkół, pomimo że powinna zająć pierwsze miejsce w programach wszelkich uczelni, bez względu na ich zakres i specyalność. Przy takiej odporności, a nawet wrogiem względem niej usposobieniu społeczeństwa, apostołowie, głoszący zbawienność jej tchnienia, ciężkie mają zadanie, mozolną i mało owocną pracę. Wszelkie kwestyonaryusze, poszukiwania statystyczne, o ile nie są czynione bezpośrednio przez organ urzędowy — inspekcyę fabryczną, nigdy nie mogą dać pożądanych rezultatów. Ale inspekcya bada tylko jeden dział: przemysłowy; grzechy zaś przeciwko zdrowiu publicznemu spotykamy na każdym kroku, w różnych warstwach społecznych i zawodach, przy pracy, w podróży, w mieszkaniach, świątyniach, zabawach itd.

Jedno tylko pismo u nas wyłącznie jest poświęcone tym sprawom: *Zdrowie*, [illegible] czone na popularność śród wielkiej [illegible] Należę do jego stałych czytelników, [illegible] i tutaj mimowoli rzucają mi się w oczy różne braki, wynikające zapewne z trudności poszukiwań. Zamiast systematycznych badań, przeważnie panuje w niem przygodność i dorywczość. Redakcya, zdaje mi się, w roku przeszłym ogłosiła kwestyonaryusz, obejmujący w licznych pytaniach warunki hygieniczne całego kraju, zarówno na wsi, jak i w miastach. Na podstawie materyału, zebranego tą drogą, można byłoby z czasem stworzyć dokładny obraz potrzeb i następnie systematycznie, celowo rozwinąć środki zaradcze. Nie wiem, w jakim stanie jest obecnie ta robota przygotowawcza; o ile wszakże sądzić mogę, zawiodła ona najskromniejsze rachuby,

oparte na pomocy „społeczeństwa inteligentnego.“

Owocną pracą w zakresie tych poszukiwań i wyświetlenia potrzeb przysłużył się ogółowi dr. Józef Tchórznicki, znawca warunków zdrowotnych naszego kraju. Jego dziełko, świeżo wyszłe z pod prasy p. t. „Pilne sprawy hygieniczne,“ obliczone na szerszą popularność, jest przesiąknięte pożądanym w tej mierze duchem agitacyjnym, a zarazem mieści ważne wskazówki, przestrogi, spostrzeżenia, doświadczeniem praktycznem zdobyte. W luźnych rozdziałach autor przedstawił szereg potrzeb istotnie najpilniejszych, których zaniedbywanie przynosi nieobliczone straty; ale jednocześnie wskazuje takie niedomagania, jakich żadnymi środkami niepodobna osunąć. Przedewszystkiem zwraca uwagę na świątynie, jako rozsadniki chorób zakaźnych i epidemicznych, potępia wszelkie sklepienia i groby familijne pod podłogą, odbywanie ceremonij przedpogrzebowych, stawianie ciał w kościołach i ciasnych kaplicach, tudzież w podziemnych częściach, odprawianie nabożeństwa przy zmarłych; wszystko to działa zabójczo na zdrowie. Dotąd tylko ciała dotkniętych cholerą, dyfterytem, ospą itp. nie mają tam wstępu. Pożądany wszakże byłby zakaz ogólny. Zwłoki powinny być odnoszone z domu wprost do kaplic przedpogrzebowych na cmentarzach, urządzonych specyalnie z dobrą wentylacyą. Zwyczaj taki panuje w całej Bawaryi. Kościoły dolne, zdaniem autora, nie mają racyi bytu i powinny być zamknięte.

Niewielu usłucha apostoła czystości, nawołującego do mycia pieniędzy kruszcowych w płynach dezinfekcyjnych. W życiu swojem spotkałem tylko jednego człowieka, który to czyni, a dr. Tchórznicki zapewne jest drugim. Środek ten wszakże należy do pierwszorzędnych warunków zdrowotnych, a zarazem do najbardziej lekceważonych. Pieniądz, przy całej swojej ohydzie, jako źródło zwyrodnienia, upadku i zbrodni, posiada jeszcze jednę składową część jadu, zabójczo działającego na ludzkość: jest roznosicielem zarazy fizycznej. Z tego powodu autor powyższy podaje projekt maszynki do czyszczenia monety brzęczącej, głównie dla instytucyj finansowych, tych rzek szerokich, przez które bezustannie przelewają się wielkie fale pieniędzy. Nie będziemy wdawać się w rozbiór i ocenę owych przyrządów, jest to bowiem rzeczą specyalistów; dodamy tylko, że obowiązkiem wszystkich kas i banków powinno być wprowadzenie takich środków dezinfekcyjnych. Ponieważ przez nie przepływają największe potoki tego „nerwu życia,“ a od mas ludności nie można się spodziewać tej cudownej pieczy o własne zdrowie, więc owe filtry hygieniczne, ustawione przy głównych ogniskach najróżnorodniejszych baktoryj, byłyby wielce zbawienne i niewątpliwie bardzo prędko wykazałyby swoje dodatnie skutki. Ale co począć z pieniędzmi papierowymi? Poddać je aparatowi sterylizacyjnemu? To może być środek względnie skuteczny, lecz kłopotliwy, przed którym wszakże nie powinny się cofać również instytucye finansowe, o ile aparaty będą obmyślane praktyczne.

O dezinfekcyi tyle już u nas pisano, że sprawy tej, poruszonej przez dr. T., nie będziemy dotykać. Natomiast niezmiernie są ważne uwagi o „spluwaczce hygienicznej,“ o której w ścisłem znaczeniu nie mamy pojęcia i lekceważymy ją haniebnie. Autor podaje bardzo praktyczny pomysł: naczynia takie powinny być umieszczone napewnej wysokości, w ten sposób, ażeby spluwano *celnie*. Przytem piasek należy bezwarunkowo zastąpić płynem dezinfekcyjnym. Przed dwoma, zdaje mi się, laty, pisząc o sprawach hygienicznych, położyłem wielki nacisk na spluwaczkę, która powinna być w każdem miejscu uczęszczanem: w szkołach, biurach, salach publicznych, sądach, wszelkich poczekalniach, na dworcach kolei żelaznych, więzieniach, a nawet na schodach. Może to chociaż w części nakłoniłoby ogół do porządku w tej mierze. Jest jedna atoli smutna okoliczność: obok wrodzonego niechlujstwa u nas wogóle, chorzy piersiowi posiadają pewien ohydny rys psychologiczny, nie wiem, czy przez lekarzy spostrzeżony: plują rozmyślnie wszędzie, gdzie się da, dla zaspokojenia wysoce egoistycznej mściwości na bliźnich za zesłany na nich ślepy los zagłady. „Dlaczego ja mam jeden tylko ginąć?“—tak oni rozumują, może nie tą jasną myślą, w słowa ubraną. Smutne to spostrzeżenie mimowoli zdarzyło mi się kilkakrotnie uczynić.

Najtrudniej uniknąć bliskiego sąsiedztwa z chorymi w wagonach. Usadowiwszy się na ławkach przeciwległych, nie uważają oni nawet za stosowne zakryć sobie ust przy napadzie kaszlu. Słusznie też dr. Tchórznicki podkreśla smutne warunki zdrowotne całych mas ludności podczas podróży. W wymaganiach jego jest wszakże dużo przesady, szczególnie w tych razach, gdy chodzi o dostarczenie pewnej ilości powietrza dla każdego z pasażerów. Chcąc zadośćuczynić tym żądaniom, trzeba byłoby zmienić chyba zupełnie system budowy wagonów. Pocieszajmy się tem, że podróż wogóle jest czynem, przekraczającym normalny tryb życia, a więc i wszelkie przepisy hygieniczne, pomimo że w pewnych razach taki trud i nienormalność wpływa właśnie dodatnio na ludzi, przygniecionych np. pracą umysłową. Ale znowu podróż jest przelotną chwilą w życiu, a więc brak powietrza w wagonie nie tak zabójczy, jak w mieszkaniu stałem lub miejscu uciążliwej pracy. Zresztą od czasu do czasu obfita masa powietrza wdziera się przez drzwi, otwierane na każdej stacyi, a przytem nowe wagony posiadają niezłe przewietrzniki.

Bądź co bądź, wymiary wagonów i obliczenia w nich ilości powietrza są wielce ciekawe i zasługują na uwagę. W klasie trzeciej u nas i za granicą wypadają zaledwie dziesiętne metra sześciennego, a średnia dla klasy II równa się 0,95 metra sześc. na osobę, przyczem pomieszczenia te w Królestwie Polskiem mają powietrza nieco więcej, niż za granicą. Przyznać zresztą trzeba, że w większości wypadków u nas podróż koleją o wiele jest wygodniejsza, niż za granicą: miejsca obszerniejsze, a pasażerów mniej. Dla zadośćuczynienia wskazówkom nauki, trzeba byłoby zmniejszyć znacznie liczbę podróżnych w każdym wagonie, co jest rzeczą niemożliwą, przynajmniej w obecnym stanie gospodarki kolejowej.

Natomiast inne żądania zasługują na jak najszybsze uwzględnienie, mianowicie: pasażerowie, którzy biorą bilety prostej komunikacyi na dalekie przestrzenie, powinni otrzymywać w wagonie po dwa miejsca, tj. 4 metry powietrza na osobę, a więc należy ich sadowić w odpowiednich osobnych wagonach. Materace miękie w klasach I i II powinny być często dezinfekowane, ściany obite ceratą, prócz tego malowane farbą olejną. Poduszki najlepiej obijać wyksatyną lub ceratą lakierowaną, dającą się łatwo zmywać. Zamiast pieców trzeba wprowadzić kaloryfery dolne i górne. (Bardzo dobry system ogrzewania parą). Pożądanem jest, aby wagony budowano podług typu, używanego już na niektórych kolejach (Nadwiślańskiej, Petersburskiej, Poleskich, Południowo-Zachodniej itd.), tj. przejście przedziela wagon w połowie jego szerokości, skutkiem czego są ławki dłuższe po 3—4 miejsca i krótsze z boku na jednę osobę. Tym sposobem zmużeni, gdy mało osób, mogą się położyć. Ważną jest rzeczą dobre urządzenie podłogi, gdyż ta najbardziej się zanieczyszcza. Otóż musi ona być z obu stron nieco spadzista ku środkowi, zaopatrzonema w dwa lub trzy otwory, przez które zmyte nieczystości spływałyby między kołami. Wogóle niezbędna jest staranna czystość. Koleje niby o to dbają; ale nieraz byliśmy świadkami pospiesznego zamiatania podłóg w wagonach, przepełnionych podróżnymi. Tumany kurzu, zmieszane wraz z zeschłemi plwocinami, przepełniają powietrze i dławią obecnych. Istotnie, niechlujna publiczność klasy trzeciej po paru godzinach tak zanieczyszcza podłogę odpadkami jadła, niedopalonymi papierosami itd., że częste wymiatanie jest konieczne; ale w takim razie podłogi niech będą gładkie, malowane olejno i doprowadzane do porządku szczotkami mokremi.

Dr. Tchórznicki żąda odpowiedniego podziału publiczności: na *czystych* i *niechlujnych*, warunek rzeczywiście bardzo zaniedbywany na kolejach. Mniej mi się wydaje możliwem oddzielenie chorych od zdrowych. Przedewszystkiem, kto będzie badał? Są chorzy, nawet bardzo niebezpieczni dla otoczenia bliższego, ale na razie poznać ich cierpień nie można. Jakim więc sposobem dałaby się przeprowadzać ta klasyfikacya? Podróżnych zatem z cierpieniami tylko zupełnie widocznemi, albo ujawnionemi przez innych w drodze, można byłoby umieszczać oddzielnie. Ale i w takim razie do czego to doprowadzi? Przypuśćmy, że zamknięto w jednym przedziale czy wagonie: suchotnika, następnie dotkniętych ospą, dyfterytem, szkarlatyną, dyzenteryą, świerzbą itd. W rezultacie wejdą oni do wagonu z jedną chorobą, a wyjdą z zarodkami dwu lub trzech, nabytych wzajemnie od sąsiadów. Chcąc zresztą przestrzegać tej klasyfikacyi, trzeba byłoby każdy pociąg zaopatrzyć w jakąś komisyę sanitarną, która musiałaby zbadać każdego z podróżnych, przynajmniej źle lub podejrzanie wyglądających. Do jakich by to awantur dochodziło! W pośpiechu i w zastępstwie takiej straży sanitarnej przez służbę pociągową, niejeden chory na zęby lub z obandażowaną ręką skaleczoną dostałby się do wagonu osobnego wraz z dotkniętymi chorobą zakaźną. Mieliśmy wymowny przykład z cholerycznymi. Podobno zamykano nieraz do białych wagonów ludzi, którym niedobrze zrobiło się chwilowo z długiej jazdy, a natomiast rodziny dotkniętych prawdziwie atakiem cholerycznym, starały się ich ukrywać. „Dostałam w drodze migreny — mówiła mi pewna znajoma — i wprost byłam przerażona myślą, że mnie mogą wziąć za choleryczną. Musiałam cierpienia swoje tłumić, nie chcąc nawet głowy obwiązać lub zażądać wody i skutkiem tego przybyłam na miejsce zupełnie chora.“

Oto są warunki rzeczywiste, które postawiłem obok wniosków dr. Tchórznickiego, nie dlatego, ażebym ich nie uznawał, lecz dla wykazania prawie niemożliwego wprowadzenia żądanych reform w całej rozciągłości. Wogóle jednak należy wszelkiemi siłami dążyć do tego, ażeby zdrowotność publiczna na kolejach żelaznych była możliwie pod każdym względem zabezpieczona, tem bardziej, że podróżny, wychodząc z warunków normalnych, staje się zawsze mniej odpornym na różne cierpienia. Obok urządzeń wagonowych i sposobu naładowywania ich pasażerami, zasługują na baczną uwagę także bufety i kuchnie, dopuszczające się może więcej przekroczeń sanitarnych, niż niejedna jadłodajnia miejska. Klasyfikacya podróżnych, a przynajmniej równomierne rozmieszczenie w pociągu, jest do pewnego stopnia możliwe. Służba wszakże dla łatwiejszej i szybszej kontroli biletów zapycha parę wagonów, a inne zostawia niemal pusto. Podział publiczności na „lepszą“ i „gorszą“ praktykuje się i obecnie, ale często niesłusznie, bo do kategoryi brudasów bywają zaliczani ludzie w skromnem lecz czystem ubraniu. *Zen. Piet.*

LIBERUM VETO.

Poeci i powieściopisarze jako reformatorowie gospodarstwa społecznego. — Zlekceważanie ich dzielnych pomysłów zapomocą rachunku. — Pasażerowie pomagający zepchnąć okręt z mielizny. — Co warte 100 prętów ziemi w gubernii poetyckiej. — Dlaczego pokazano nam pannę Vanderbildt. — Styl naszej epoki — aliażowy i jego kluski. — Broszura dr. Sonnenberga o dyskrecyi lekarskiej. — Skutki tajemnicy i jej naruszenia. — Przestarzały sentymentalizm.

Formalnie jesteśmy w porządku: bo jeżeli humoryści bywają filozofami, to dlaczegóżby poeci i powieściopisarze nie mieli być ekonomistami? Skorzystali z tego prawa i od pewnego czasu gorliwie reformują nasze gospodarstwo społeczne. Dzięki im, czytamy wiersze, nawołujące do „młota i kielni,“ romanse — zalecające uprawę chmielu, dramaty—wskazujące obowiązek i korzyść zajęcia się wyrobem jabłecznika. Wdzięczni tym mistrzom, zachwyceni ich rozumem i dobrocią, pytamy nieraz w zdumieniu: czemuż te tak proste pomysły, tak oczywiste prawdy nie przychodzą do głowy ludziom praktycznym i muszą być aż drogą natchnień zsyłane z nieba poetom i powieściopisarzom? Czemu szukający prac produkcyjnych nie widzą, że potrzebują tylko ująć „młot i kielnię,“ zasadzić parę morgów chmielu lub jabłoni, a tryśnie dla nich niewyczerpany zdrój bogactw? Jestże to lenistwo, czy niewiara? Jedno i drugie, ale głównie—drugie. Właściciel 15-włókowego folwarku i ojciec pięciu synów, którzy razem (w nierównym podziale) skończyli 27 klas, mówił raz do mnie:

— Ja tego nic a nic nie rozumiem. Zlajaliście jakiegoś poetę za to, że ubrał Koryolana w spodnie i kazaliście mu nauczyć się historyi ubiorów. Tymczasem chwalona przez was autorka dowodzi, że jej bohater zbierał corocznie dużo zadowolenia i pieniędzy z dwu morgów chrzanu. Wziąłem ołówek i papier, rachuję najściślej, robię nawet najpomyślniejsze przypuszczenia urodzaju i zbytu — ciągle wypada mi, że taki hodowca miałby dosyć chrzanu dla siebie i swej rodziny, ale mięso z nim widziałby chyba tylko wtedy, gdyby na własne ciało położył sobie synapizm. Albo więc ci gospodarze, fabrykanci i kupcy naszej beletrystyki mają w sobie tyle prawdy, ile ten bohater z bajki, który, gdy rzucił za siebie grzebień, wyrastał mu z niego las, albo autorowie i autorki kryją przed nami kosztorysy zalecanych przedsięwzięć, które ich postaciom dają tyle szczęścia i dostatku. Byłaby to wstrzemięźliwość całkiem niepotrzebna. Powiedzieć: Ambroży, załóż w Wilczodołach fabrykę oleju — potrafię sobie sam po jednej butelce; ale ten, kto mi na trzeźwo podsuwa taką radę, niech mnie przekona rachunkiem, że nie stracę tego, co ów poeta wspaniałomyślnie ofiarował Koryolanowi, a czego mnie nikt darmo nie da.

— Nie należy — wtrąciłem — literalnie brać pomysłów poezyi i powieściopisarstwa.

— Jak to nie należy? Więc one są farsą? Ani Mickiewicz lub Rzewuski, ani Słowacki lub Korzeniowski nie napędzali nas do uprawy chrzanu i kukurydzy, do gospodarowania na ziemi lub handlowania w sklepie; jeżeli więc nowoczesna literatura kształci nas w tym kierunku, to chyba ma jakiś poważny cel a nie dziecinne żarty.

— Panie dobrodzieju — rzekłem — kiedy okręt osiądzie na mieliznie, a załoga nie może go z miejsca ruszyć, zaczynają myśleć o sposobach zsunięcia na głębszą wodę — pasażerowie. Wtedy jeden radzi rzucić w morze worek tytoniu dla zjednania sobie boga oceanu, drugi — zawiesić nowy wielki żagiel, inny — posłać po ogromny magnes i umieściwszy go w łodzi na głębinie, przyciągać nim okręt itd! Nie ulega wątpliwości, iż żaden z tych środków nie poskutkuje, ale trudno brać za zło dobrej woli, że je podaje. Ponieważ zaś nasi ekonomiści, składający załogę statku gospodarstwa społecznego, nie mogą ruszyć go z mielizny, więc poeci i powieściopisarze radzą...

— Wie pan co, mnie się zdaje, że oni lepiej by zrobili, gdyby siedząc na tym statku, opisywali widoki wschodu lub zachodu słońca i falowanie morza, a nie wtrącali się do spraw marynarskich.

I mnie się tak zdaje, ale przyznać muszę, że ta ekonomika beletrystyczna musi być bardzo przyjemna. Bo proszę zważyć, że w poezyi i powieści gospodarz nie zna nieurodzaju i nizkich cen, zboże mu się wykłosi w dobrej porze, konie nie wymagają obroku, czeladź—ordynaryi, najem—zapłaty; hodowcy chrzanu lub chmielu autor sprzeda natychmiast cały plon; fabrykantowi kapot chłopi rozkupią wszystek towar, a jeżeli jakiś Połaniecki lub Wokulski przedsięwezmą operacyę finansową, nawali im się do kas złota, jak polnych głazów. Jest to tak cudowny rodzaj istnienia i pracy, że gdybym wybierał sobie raj na ziemi, poprzestałbym na małej fabryczce lub na trzech morgach ziemi, położonej w... gubernii powieściopisarskiej. Wtedy posiadałbym najcenniejszy warunek życia padołu ziemskiego — niezależność i drwiłbym sobie ze wszystkich przeciwieństw losu. Powiedziałem: trzy morgi — wystarczy mi 100 prętów kwadratowych, ale koniecznie w gubernii powieściopisarskiej lub poetycznej. Szkoda, że komisarze Apollina ani nie rozdają i nie sprzedają takich działek ziemi i takich fabryczek...

Nasze ilustracye nie nadążyłyby podawać wizerunków ludzi szczęśliwych. Dziś zaledwie czasem zdarzy im się miła sposobność zamieszczenia portretu panny Vanderbildt i ks. Malborough, który ją poślubił dla tej samej przyczyny, dla której *Tygodnik ilustrowany* ją odrysował. Gdyby ona nie posiadała 30 milionów dolarów, nie wybranoby jej głowy nawet dla uwidocznienia w ogłoszeniu skuteczności eliksiru na porost włosów. Ktoś kiedyś dowodził mi, że wiele naszych pism przeszło w ręce ludzi pospolitych, podczas gdy dawniej miały one na swem czele stylowych. Takim stylowym człowiekiem miał być Jeniko, Pług i inni. Posiadali oni w sobie jakąś jednorodność, większe wymiary, powagę, dostojeństwo i zmysł odróżniania rzeczy dużych od małych. Jeżeli który z nich okazywał barwę, to określoną; jeżeli się chwalił, to nie kupnem ulepszonej maszyny drukarskiej; jeżeli wdziewał strój uroczysty, to szaty kapłańskie; jeżeli uczył lub gromił, to z ambony. Dziś tylko fraczki i fraszki. Stanowczo nie podzielam tego poglądu. Dlaczego tylko te sprzęty, które wyrobiła epoka Odrodzenia lub Ludwików, mają być stylowe, a nasze — nie? My mamy także swój styl, któryby nazwał aliażowym. Był wiek żelazny, miedziany, srebrny, złoty, teraz przyszedł czas na aliażowy, na stopy rozmaitych metalów. Proszę go nie lekceważyć: bronz jest także mieszaniną, używaną przecież do odlewania pomników. Że zaś przy bronzie i pomnikach chce istnieć mosiądz i samowary — na to zgodzić się musimy, chociażby nawet w naszej prasie było więcej samowarów, naparzających liście brusznicy zamiast herbaty, niż pomników. Zresztą... 30 milionów dolarów — czy to nie ogrom? Czyż nie trzeba być wielkim człowiekiem, ażeby należycie uczcić taką masę pieniędzy, taki posag jednej panny? W tym pokłonie wyraża się właśnie styl. Matlakowski dowiódł, że tkwi on nietylko we wspaniałych gmachach, lecz w mizernych chatach zakopiańskich. Przypuszczam, że ktoś woli chłód i stęchliznę dumnych zamków, niż wilgoć i duszność chałup, w których ludzie mieszkają razem z wieprzami i cielętami — ale to jest kwestya gustu, wyjętego, jak wiadomo, z pod wszelkiej krytyki. Zola, wzgardziwszy marmurem, z błota ulepił całą galeryę cuchnących posągów — i przyznano mu styl. Któż więc nam odważy się odmówić stylowości z tej racyi, że budujemy chato-chlewo-obórki i zmiatamy z nich kurz dla zagniecenia sobie z tej mąki pożywnych klusek?

Dr. E. Sonnenberg przypomniał nam jeden z najdziwniejszych aliażów moralnych, jaki służą „do ozdoby naszego czasu. W społeczeństwach bowiem, które „dla dobra ogólnego“ nie wahają się gwałcić tych praw jednostki, których nie odmawiają pożytecznym robakom, istnieje t. z. „dyskrecya lekarska.“ Polega ona na bezwzględnem zatajeniu choroby pacyenta, chociażby on tą chorobą miał zarazić i zgubić świat cały. Przychodzi do lekarza troskliwy ojciec i pyta go, czy może pewnemu, podejrzanemu w zdrowiu młodzieńcowi oddać za żonę swą córkę. Chociażby w tym młodzieńcu na stały pobyt osiadła dżuma, lekarzowi nie wolno zdradzić jego tajemnicy. W innym wypadku lekarz widzi, że dziecko dotkniętych nieuleczalną chorobą rodziców zarazi swą mamkę, albo też, że szukająca u niego porady akuszerka zarazi wszystkie położnice, których się dotknie; albo, że piekarz, który sam wygniata ciasto, za pośrednictwem bułek i chleba udzieli strasznej choroby swoim spożywcom; on to widzi, nieraz jest zupełnie przekonany o nieszczęsnych skutkach swej dyskrecyi, jednak musi ją zachowywać. Co począć? Autor rozprawki w tym przedmiocie radzi: „poddawać peryodycznej obserwacyi lekarskiej wszystkich pracujących w takich zakładach, jak piekarnie, restauracye, cukiernie“ itd. Toż samo należałoby czynić z akuszerkami i masażystkami. Dalej, pragnący zawrzeć małżeństwo winni również składać świadectwo zdrowia. Nie będę brał pod światło tych środków, które, mojem zdaniem, nie wyczerpują całego arsenału, jaki do tej walki użyćby należało. Zwrócę tylko uwagę, że dzisiejsza dyskrecya lekarska jest śmieszna i często równa się usuwaniu przed zbrodniarzem trudności i przeszkód do popełnienia przestępstwa. Jeżeli — jak to wskazuje dr. S. — bywa ona naruszana: w kartach szpitalnych, umieszczanych nad łóżkiem chorego, w opiniach lekarskich, przesyłanych towarzystwom ubezpieczeń, w książeczkach robotników fabrycznych, w fotografiach i artykułach, ogłaszanych nieraz z podaniem całkowitych lub skróconych nazwisk pacyentów, jeżeli te niedyskrecye są właściwe i uprawnione, to czemuż karygodnem miałoby być poufne zawiadomienie przez lekarza władzy, czuwającej nad zdrowiem publicznem, że piekarz X., który sam wyrabia ciasto, jest dotknięty chorobą zaraźliwą? Tajemnica może mieć swoje stopnie i nie przestaje nią być, gdy się ukryje w kilku głowach, zamiast jednej. Pomiędzy otrąbieniem na rynku, że piekarz X. jest chory niebezpiecznie dla konsumentów a doniesieniem jakiemuś organowi władzy, który mu zabroni narażania ich — zachodzi ogromna różnica. Dyskrecya lekarska nic nie straciłaby na ścieśnieniu jej granic tylko do tych punktów, w których nie styka się z dobrem i bezpieczeństwem osób trzecich i ogółu. W obecnej swej formie jest ona osłoną dla złej woli, zdrożnej lekkomyślności i nieszczęść, których suma z tego źródła płynąca obliczyć się nie daje. Ile jedna chora akuszerka może zgubić kobiet, a piekarz — spożywców, trudno orzec. Natomiast gdyby pierwszej odebrano prawo praktyki, a drugiemu — wypieku bułek, tylko dwie osoby musiałyby szukać innego zarobku. Chyba każdy z nas wolałby, ażeby go okradziono, niż obdarowano nie-

uleczalną chorobą: czemuż o złodzieju można krzyczeć, a o zarażonym nie można nawet szepnąć? *)

Poseł Prawdy.

W DALI.

Łódź. Doraźnie urządzona wystawa przedstawiająca obraz produkcyi przemysłowej, miała ogromne powodzenie, z pomyślnym rezultatem materyalnym. W ciągu miesiąca zwiedziło ją 42,000 osób, w tej liczbie 18.000 robotników, a dochód przewyższył wydatki o kilka tysięcy rubli, które przeznaczone będą na cele dobroczynne. O wiele wszakże zyskowniejszy popis był dla samych przemysłowców jako doskonała, rozgłośna reklama, rozniesiona nie tylko po Królestwie, ale i szeroko po Cesarstwie. Koszt wystawy wynosił tylko 50,000 rs. Można ztąd mieć pojęcie, o ile świetniejszy będzie popis fabrykantów łódzkich w Niższym-Nowogrodzie, gdzie na urządzenie swego działu przeznaczają podobno milion rubli. Popis miejscowy, na prędce z organizowany, nosił charakter czysto domowy, niemal prywatny. Gdyby się odbył na wielką skalę, ściągnąłby niewątpliwie uwagę nawet zagranicy. Była to tylko próba; interesowani zamierzają w przyszłości stworzyć wspaniałą wystawę. — Stacya kolejowa w Łodzi w krótce będzie oświetlona elektrycznością. Jednocześnie będą rozszerzone pomieszczenia, bardzo liche i pierwotne, nie odpowiadające najskromniejszym wymaganiom ruchu osobowego i towarowego. — Korespondent *Kuryera War.* opisuje znamienne stosunki kredytowe w Łodzi: Pan X. buduje domek, a raczej „powziął myśl" budowania go, posiadając zaledwie parę tysięcy w gotówce. Te parę tysięcy używa na kupno placu, służą mu jednak tylko jako zadatek, resztę wartości płaci wekslami; następnie idzie do pana Y. i umawia się z nim, aby swoim kosztem wybudował mu kamienicę za pewną sumę; pan Y., jako przedsiębiorca budowlany, godzi się i znów otrzymuje zapłatę wekslami, to samo dzieje się z cegielniami, cieślami, ślusarzami itd. Weksle jednak mają swój czas płatności, trzeba więc było znaleźć sposoby na wydobycie w danej chwili kapitału z nieskończonego domu. Cóż łatwiejszego?!... Bierze się plan domu i ogłasza o mieszkaniach w nim do wynajęcia. Ponieważ ludność Łodzi powiększa się szalenie, przeto amatorów nie brakuje na lokale, zawierają oni umowy na lat parę. Gospodarz jednak nie podpisuje z nimi dopóty kontraktu, dopóki za cały czas trwania go nie otrzyma weksli, które zgromadzone razem przedstawiają bardzo poważny kapitał. Naturalnie, weksle są od tego, aby je dyskontować. Właściciel kamienicy więc niesie je do banku, odbiera pieniądze, płaci niemi terminowe weksle stare, wystawia nowe i t. d., aż dom stanie pod dachem. Wtedy, rzecz wiadoma, istnieje Towarzystwo kredytowe miejskie, które pożycza na hypotekę, a więc przypływa kamienicznikowi nowy zapas gotówki do obrotu. Spekulant szuka wtedy nabywcy, kamienicę ze znacznym zyskiem sprzedaje i bierze się do budowania nowej na tych samych warunkach. Dzięki tym łatwym obrotom, nieznanym w żadnem innem mieście europejskiem, Łódź podnosi się z każdym dniem w sposób zadziwiający, albowiem rok rocznie buduje od 500 do 800 domów. Sposób powyższy jest bardzo korzystny, ale tylko dla tych, którzy weksle biorą, nie dla tych przecież który je wystawiają. Przedewszystkiem wystawiony weksel z góry przed wykończeniem mieszkania oddaje lokatora na łaskę i niełaskę gospodarza, który, o ile jest nieaktualnym, może cuda nadzwyczajne z nim wyprawiać. Naprzykład są tacy którzy powystawiali weksle na lat trzy, a przez cały kwartał bez okien mieszkać byli zmuszeni. Tego jeszcze nie dosyć; kontrakt, o ile nie jest hypoteczcie przy sprzedaży domu zapewniony, naraża lokatora na dowolne wypowiedzenie mu mieszkania ze strony gospodarza, nie zabezpieczając go przed płatnością już wystawionych, a zdyskontowanych weksli. W razach nadzwyczajnych podstawienie innego lokatora jest niemożliwe, gdyż naraża na konieczność płacenia już wystawionych weksli bez rękojmi odebrania pieniędzy. Łatwość wystawiania takich weksli sprawiła ich lekceważenie. Dosyć powiedzieć, że t. zw. banki tutejsze nie mają zwyczaju zawiadamiania, iż w ich posiadaniu znajduje się taki dowód, a obowiązkiem wystawcy jest albo szukać swego obligu po świecie, albo czekać na regenta w mieszkaniu, za co naturalnie także płacić trzeba.

*) Sprawę tę ktoś inny poruszał już w nr. 33 im Prawdy.

Mińsk. Miejscowe Towarzystwo rolnicze poruszyło niedawno sprawę zabiegów o odłożenie na rok wprowadzenia monopolu wódczanego w guberniach północno-zachodnich. W r. b. był tam wielki urodzaj kartofli, które służą wyłącznie do wyrobu spirytusu. Tymczasem z jednej strony istnieją na miejscu znaczne zapasy gorzałki z ubiegłej kampanii, skutkiem czego ceny spadły do ostatnich granic; z drugiej znów — przeznaczenie całej ilości kartofli na wyrób spirytusu stało się rzeczą niemożliwą, ponieważ po wprowadzeniu monopolu skarb weźmie tylko nieznaczną część produktu miejscowego, wyrobionego w gorzelniach prywatnych, pozostały zaś wypadnie wywieźć za granicę i sprzedawać za bezcen. Jednocześnie wskazywano i tę okoliczność, że u wielu właścicieli ziemskich nagromadzone są tysiące beczek kartofli, dla których nie można znaleźć zbytu, o ile nie będą użyte na pędzenie spirytusu. „Okazuje się, powiadają *Birż. Wied.* że monopol skarbowy zaskoczył ziemian w guberniach północno-zachodnich całkiem niespodzianie i nie dał możności stopniowo przygotować się do zmienionych warunków."

Petersburg. Dnia 13 b. m., w nocy nagła i gwałtowna powódź nawiedziła stolicę. Pierwszy wylew zauważono około godz. 8-ej wieczorem. Poziom wody podnosił się bez przerwy do godz. 4-ej w nocy. Straty ogromne. Największe szkody na wyspie Wasilewskiej, oraz na brzegach petersburskim i wyborskim. Ludność nadbrzeżna nie spała przez całą noc. Na przystani zalane lokale parterowe. W środku miasta straty znaczne, zwłaszcza ucierpiał rynek. Ogród Krestowskiego, w którym odbyło się otwarcie sezonu, był przez całą noc odcięty od miasta. Zgromadzona tam publiczność pozostała do rana na wyższych galeryach. Bufet opróżniono zupełnie. Po ulicach pływało drzewo, na niektórych woda dosięgała latarń. Wiele domów ucierpiało, zwłaszcza przy ulicach Gagaryńskiej i Nadbrzeżnej, pomiędzy innemi pałac Szeremetjewa. W wielu punktach miasta utrzymywano przez kilkanaście godzin komunikacyę na ulicach za pomocą łodzi. Wedle danych, ogłoszonych w *Praw. Wiest.*, 75 statków woda wyrzuciła na ląd, zatonęło 10 napełnionych towarami. Zalane gmachy: rady ministeryum rolnictwa, instytutu górniczego, pierwszego korpusu kadetów, instytutu medycyny doświadczalnej, koszary pułku grenadyerów i teatr Panajewa. — Odbyło się posiedzenie komisyi rady miejskiej w sprawie budowy kolei północnych. Złożono deklaracye, że zarząd wołogodzki łączy się z projektem petersburskiej rady miejskiej. Przedstawiciele zakładów tagilskich, łuniewskich, wierchnisieckich i chałupeckich oświadczyli, iż uważają Petersburg za najważniejszy punkt zbytu metalów uralskich i zakłady te mają przysłać swoich przedstawicieli.

SPRAWY EKONOMICZNE.

AGENCI HANDLOWI.

Przed paru miesiącami zatwierdzono „Instrukcyę dla agentów kolei żelaznych" i wprowadzono ją w czyn. Tym sposobem do użytku powszechnego oddano nowe organy, a raczej przedstawicieli, pośredniczących między publicznością a ministeryum komunikacyi. Jest to fakt niezmiernie doniosły dla ogółu, gdyż tu chodzi o sprawdzanie i wyświetlanie rzeczywistych potrzeb ekonomicznych, tudzież o rozstrzyganie różnych wątpliwości, szczególnie w zakresie taryf, które pomimo że są obmyślane na podstawie długich, szczegółowych badań i przy pomocy bardzo wielu wytrawnych znawców, nie zawsze uwzględniają istotne potrzeby i często w teoretycznych obliczeniach doskonałe, przedstawiają w praktyce wiele nieprzewidzianych omyłek. I dziwić się temu nie można wobec złożoności i ogromu całej machineryi, obejmującej najróżnorodniejsze i nawet nieraz sprzeczne interesy ludności całego państwa. Niedawno *Wiek* podał znamienny fakt: Niektóre towary, idące do Królestwa Polskiego z zagranicy, są dostarczane wodą z Londynu do Gdańska lub Szczecina, a następnie zamiast przez Aleksandrów albo Sosnowice, skierowywane bywają na Wrocław, skąd drogą żelazną dowożone są do stacyi kolei pruskiej, Herby, położonej na granicy, dalej zaś dostawiane furmankami do Częstochowy, Sosnowic i wogóle całego okręgu sosnowickiego. Samej juty, używanej w znacznej ilości przez fabryki częstochowskie, przewożą corocznie końmi, zamiast koleją żelazną, 355—400 tysięcy pudów, co znacznie opóźnia dostawę towaru na miejsce przeznaczenia.

Tego rodzaju dziwactwa transportowe pochodzą ze złego unormowania opłat przewozowych. Otóż między innemi na takie zjawiska agenci handlowi zapewne będą i powinni zwracać uwagę. Już nawet za pomocą pośrednika warszawskiego kupcy sosnowieccy uczynili stosowne podanie; jest więc nadzieja, że owo współzawodnictwo szkap wychudzonych z parą, będzie kiedyś usunięte.

Według przepisów ministeryalnych, całe państwo jest podzielone na siedem okręgów agenturowych: moskiewski, charkowski, warszawski, uralski, wołżański, portowy (Odesa, Mikołajów, Libawa), punkty handlowe wewnętrzne (Kijów). Przedstawicielem okręgu tutejszego jest p. Mecwes (Warszawa, ul. Mazowiecka nr. 10). Zadaniem agentów wogóle jest pewnego rodzaju kontrola nad gospodarką kolejową, tudzież badanie potrzeb miejscowych. Właściwie nie mają oni żadnej władzy bezpośredniej, nie mogą się mieszać osobiście do czynności urzędników kolejowych, ani też wydawać niezależnie od siebie żadnych rozporządzeń. Są więc, jak rzekliśmy, pośrednikami między przedsiębiorstwem komunikacyjnem a publicznością, rzecznikami jej potrzeb. Muszą oni skrupulatnie badać tudzież sprawdzać wpływ i skutki wszelkich nowych przepisów, wprowadzonych w życie. Jeżeli jakie rozporządzenie nie odpowiada celowi lub jest zanadto uciążliwe dla ogółu, albo jeśli skutkiem mylnego tłomaczenia prawa gospodarka kolejowa jest w rozterce z interesami podróżnych i właścicieli ładunków, agent obowiązany jest wnieść w tej kwestyi odpowiednie przedstawienie do władzy wyższej, ze szczegółowem oświetleniem okoliczności danej sprawy. Procz tego agenci muszą wyjaśniać wszelkie braki i słabe strony przedsiębiorstwa komunikacyjnego. Przedstawiając departamentowi wiadomości w tym zakresie, powinni streszczać życzenia osób interesowanych oraz własne swoje zdania i projekty. Mogą wreszcie w podaniach swoich wyłuszczać wszelkie inne sprawy, dotyczące pomyślnej eksploatacyi kolei żelaznych. Przedewszystkiem zaś głównym ich celem jest dostarczanie departamentowi możliwie największej sumy wiadomości, dotyczących strony handlowej tudzież potrzeb i wymagań publiczności. Każdy więc, ktokolwiek dostrzeże pewne braki, szkodliwe dla interesów ogólnych i potrafi je logicznie umotywować, może liczyć na poparcie owego pośrednika, a co ważniejsza, na to,

że głos jego nie uwięźnie i nie zginie gdzieś po drodze, lecz dojdzie do władzy ministeryalnej.

Pomyślmy, ile przy tem ciekawych i doniosłych spraw może się nastręczyć. Zjazd kolejowy układa ruch pociągów w danym sezonie i przeocza chwile największego ożywienia handlowego w pewnej prowincyi. Rozkład zatwierdzony nie może uledz zmianie, a tymczasem przez pół roku sprawy ekonomiczne skutkiem błahego na pozór pominięcia, bardzo wiele ucierpią i odbiją się na bycie materyalnym tysięcy ludzi. Chodzi np. o bagatelę: dodanie jednego pociągu. Głos pewnej rzeszy interesowanych ginie w chaosie wielu innych ogólnych interesów, a tymczasem towar się nagromadza, psuje, zamówiony na pewien czas, nie może dojść do miejsc przeznaczenia, stosunki zawiązane szczęśliwie, pękają pod wrażeniem niesłowności i jakaś dziedzina handlu, która rokowała świetną przyszłość, toczy się w przepaść bankructwa, bo kolej nie przyjęła na siebie odpowiedzialności za terminową dostawę. Według bowiem zatwierdzonego rozkładu muszą ściśle wyprawiać pociągi, a żadne prywatne utyskiwania nie mogą mieć skutku.

Otóż agenci, jako ludzie z obowiązku obeznani bliżej z potrzebami istotnemi, muszą takie żądania uwzględniać i swoją powagą poprzeć, a wtedy skutek zabiegów zupełnie jest pewny. Mogą oni również przedstawiać departamentowi plany budowy linij kolejowych, niezbędnych do podniesienia danej gałęzi przemysłu i handlu w pewnej miejscowości. Najbardziej zaś powinny być badane i wyświetlane wszelkie zjawiska nienormalne, szkodliwe, jak np. owa sławna komunikacya na osiach, która nawet w Królestwie Polskiem, przy gęstszej sieci kolejowej, niż gdzieindziej, odgrywa bardzo ważną rolę i dotąd jest jednym z najgłówniejszych czynników w ruchu przewozowym. Jeżeli pewne przepisy i rozporządzenia są niedogodne dla publiczności lub sprzeczne z interesami ogólnymi, agenci powinni bez skrupułu przedstawiać departamentowi istotny stan rzeczy, żądać uzupełnień, zmian lub gruntownych reform, przesyłać wnioski, projekty i plany osób wytrawnych, obeznanych dokładnie z potrzebami miejscowemi. Mamy świeży przykład dla uplastycznienia takiego stanu rzeczy: kolej Dąbrowska wprowadziła zimowy rozkład jazdy, niewygodny dla produkcyi i handlu. Otóż skoro tylko działalność agentów i ich zadania będą wiadome szerszemu ogółowi, wszyscy wytwórcy i kupcy, mający do czynienia z powyższą linią, nie omieszkają swych potrzeb sformułować, a nawet kto wie, czy w chwili gdy to piszemy nie zakołatali już do swego pośrednika w tej sprawie.

Najważniejszy zakres działalności agenci mają w okręgach fabrycznych. Muszą oni przedewszystkiem badać przemysł wielki w danym obrębie pod względem ekonomicznym i przewowym. Wreszcie zadaniem ich jest wogóle baczenie na potrzeby przemysłu i hadlu, ze szczególnem uwzględnieniem spraw rolnych.

Nasi ziemianie dotąd zdaje mi się nie skorzystali z tak doniosłych usług pośrednika, pomimo, że mieliby dużo do przedstawienia w interesie własnej gospodarki, związanej z systemem transportowym.

Dr.

— Na posiedzeniu techników d. 12 b. m. inż. Szymański mówił o wpływie kanałów na stan wód gruntowych.

— Przy ministeryum rolnictwa powstaje laboratoryum chemiczne.

— Ministeryum skarbu stara się o milion rubli na prace przygotowawcze około wprowrdzenia monopolu wódczanego w Królestwie Polskiem. Sumę tę przeznaczono głównie na wydawanie zaliczeń w celach budowy przez osoby prywatne składów i rektyfikacyi dla oczyszczania spirytusu skarbowego. W całem Królestwie postanowiono otworzyć od 13 stycznia 1898 r. 52 składy, z których połowa urządzona będzie kosztem skarbu. (*Świet*).

O PRAWDĘ.

Nauczycielki

Kwestya losu nauczycielek, ich twardej doli i niepewnych zarobków znowu pojawiła się w prasie. Panna Unschlichtówna przedstawiła straty, na jakie narażone są te pracownice z powodu, że nauka po domach prywatnych trwa nieraz o parę miesięcy krócej, niż w szkołach, a p. Zenon Pietkiewicz zwrócił uwagę na nieudolne nauczycielki, które same nie są pożyteczne i nie mogą odnosić korzyści ze swej daremnej pracy.

Do tych przyczyn dodać jeszcze trzeba uprzedzenie tyczące się ogólnie pracy kobiecej, nawet na polu nauczycielstwa, jakkolwiek w krajach, w których pedagogika najwyżej stoi, powszechnie uznano wyższość kobiet na tem polu.

U nas zostawiono płci żeńskiej jedynie nauczanie początkowe, a pedagog nawet słabo posiadający swój przedmiot, uważanym i płatnym jest daleko drożej niż najlepsza nauczycielka.

W wyższem nauczaniu, uprzedzenie swe motywują niektórzy uniwersyteckiem wykształceniem mężczyzn. Ale motyw to więcej pozorny, niż istotny, bo wielu dyplomu nauczycieli uniwersyteckiego nie posiada, a z drugiej strony jest on dziś udziałem coraz większej liczby kobiet, które pomimo to, nie uzyskały równości na polu pedagogicznem. Jednakże, nie mówiąc naturalnie o wyjątkach, trafiających się wszędzie, kobiety zwykle sumienniej wywiązują się ze swego zadania, oddają mu się z zapałem, pracują ciągle nad swoim przedmiotem, gdy mężczyźni traktują najczęściej lekcye jako nudny obowiązek, a wyrobiwszy sobie pewną rutynę, nie myślą już o nich po za godzinami wykładu.

Ale cóż począć z uprzedzeniem. Dotyka ono ze strony rodziców zarówno kobiety w nauczaniu początkowem, jak wyższem. Są oni rzadko zdolni osądzić wartość pracy pedagogicznej, a z nauczycielkami, wskutek ich podrzędnego położenia, zadają sobie mniejszy przymus, niż z osobnikami płci męzkiej. Przytem, zwłaszcza w edukacyi prywatnej, nie zawsze chodzi im o istotną korzyść dzieci, uczą ich zwyczajowo, nie dla tego ażeby się nauczyły.

W takich domach lekcye nie są zależne od pedagogicznego uzdolnienia nauczyciela ale i od fantazyi uczenic, którym nieraz niepodoba się twarz nauczycielki lub cośkolwiek w jej osobie, niemającego nic wspólnego z wiedzą.

W nauczaniu wyższem uprzedzenie rodziców wpływa na przełożone zakładów naukowych, które lękają się ich zrazić, powierzając wykłady w wyższych klasach kobietom, jakkolwiek wiedzą z doświadczenia, że te bywają pożyteczniejsze.

Jest przytem rzeczą znamienną, iż kobiety ograniczone uprzedzenie to żywią w najwyższym stopniu, a nawet że miara uprzedzenia, jest miarą ich umysłowości, gdyż sądzą całą płeć swoją według samych siebie i naturalnie zaufania do niej mieć nie mogą. Klientela doktorek medycyny, dentystek i t. p. składa się tylko z kobiet inteligentnych, gdy często daje się słyszeć pomiędzy umysłowym plebsem niewieścim lekceważenie ich rozumu i wiedzy.

To samo jest w nauczaniu. I tutaj upatrywać można jeden z powodów złej doli nauczycielek. Zniechęcają się one często, bo nie widzą przed sobą możności posunięcia się wyżej w kierunku swego zawodu. Praca ich nie jest ocenioną właściwie, a z tej przyczyny blaga i czelność, tu jak na wielu innych polach, zajmuje miejsce należne istotnej zasłudze. Dla nauczycielki więcej znaczy protekcya jednego kolegi płci męzkiej, niż wiedza i gorliwość.

Dopóki więc matki same nie będą wykształcone i nie zrozumieją, że najwłaściwszemi pomocnicami ich w kształceniu córek mogą być kobiety, nauczycielki zajmować muszą podrzędne stanowisko.

Walerya Marrené.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Na utrzymanie duchowieństwa katolickiego w Cesarstwie wyznaczono rs. 565,945 rs., w Królestwie Polskiem i kraju Zakaukazkim — rs. 964,257.

— W Kielcach rozwielmożnili się bardzo pokątni doradcy.

— W Genui odjazd okrętów z wychodźcami galicyjskimi wstrzymano zupełnie aż do kwietnia. Skutkiem tego rząd włoski zamknął granicę dla wszystkich emigrantów.

— W okolicy Warszawy za rogatką powązkowską wykryto fałszerzy monety złotej (10, 15 i 20 kopiejkowej). Warsztat był urządzony w mieszkaniu Suchera Bosiewicza, przybyłego z Pińska.

— W Jarosławiu (gub.) zawiązało się Towarzystwo niesienia pomocy uwolnionym z więzień.

— Dom Matejki w Krakowie zakupiono celem urządzenia w nim muzeum imienia genialnego mistrza.

Zdrowie publiczne. Urzędowo ogłoszono, iż w Petersburgu od 10 października zaczęły się pojawiać wypadki podobne do cholery. Ogółem do 15 listopada zachorowało 65 osób, zmarło 31.

— Kolej Nadwiślańska oprócz apteczek podręcznych przy pociągach osobowych, wprowadziła w nich nosze dla chorych z odpowiednią pościelą. Jest to przyrząd resorowy, wynaleziony przez p. L. Wojciechowskiego, sekretarza wydziału mechanicznego tej drogi.

— Okrąg Nadamurski uznano już za wolny od cholery.

— Cholera na Wołyniu słabnie.

— W kefirze znaleziono cząstki składowe, szkodliwie działające na zdrowie. Wyrób zatem i sprzedaż należy oddać pod kontrolę specyalistów.

— Instytutowi doświadczalnemu w Petersburgu wyznaczono 32,000 rs. na koszty przyrządzania surowicy przeciwbłonicowej.

— Do d. 13-go r. b., ogólna liczba lekarzy w państwie wynosiła 15,740 mężczyzn i kobiet. Prawie trzecia część (5,061) przypada na wolno praktykujących, następnie idą wojskowi 3,192, ziemscy 2,061, szpitalni 1,133. Około połowy jest w wieku pomiędzy 30 — 40 latami. Najmłodszy z praktykujących liczy 22 lata, najstarszy 88. Lekarzy-kobiet było w oznaczonym terminie 563. Większość ich zajmuje się praktyką miejską; przy instytucyach ziemskich 98, w zakładach naukowych 43, w aptekach 28, w urzędach sanitarnych miejskich 10 i na kolei 1.

Koleje i komunikacye. Starszy kontroler służby ruchu na kolei Wiedeńskiej, Makarow, opuścił zajmowane stanowisko.

— Kolej Wiedeńska z powodu swego jubileuszu (50 lat istnienia) postanowiła obdarzyć gratyfikacyą tych pracowników, którzy przesłużyli 35 lat.

— Ministeryum komunikacyi zaleciło zarządom kolejowym, aby przy zawieraniu nowych umów co do sprzedaży dzienników na stacyach, przyjmowano nietylko korzystne oferty, ale żądano możliwej taniości pism.

— Dziewięć parowozów systemu Wahcherta, sprowadzonych przez kolej Wiedeńską, przeznaczono na sezon letni do pociągów kuryerskich. Przebiegać one będą 75 wiorst na godzinę.

— Ministeryum komunikacyi w okólniku jeszcze raz potwierdziło przepis, iż gubernatorowie według własnego uznania mogą pozwalać na budowę linij pomocniczych miejscowych, bez zwracania się do władzy wyższej.

— W r. b. będą zbudowane nowe linie telegraficzne: w gub. płockiej od Ciechanowa do Przasnysza, w lubelskiej od Hrubieszowa do Strzyżewa; w suwalskiej połączenie takie będzie urządzone między kilku punktami.

— Pomiędzy Moskwą a Wierzbołowem postanowiono urządzić drugą linię telegraficzną.

Sądy. W rozpatrywanej powtórnie sprawie o *Kuryer świąteczny*, izba sądowa pozostawiła bez skutku skargę apelacyjną p. Łaszczyńskiego.

Ze świata rzemieślniczego. Starsi zgromadzeń cechowych otrzymali pozwolenie zbierania się od czasu do czasu dla wspólnych narad nad sprawami, mającemi dobro ogólne na względzie. O każdem takiem zebraniu będą zawiadamiane władze miejskie, z dołączeniem programu narad.

— Kobiety, pracujące w tutejszych zakładach kapeluszniczych cechowych (obszywaczki, modelatorki), postanowiły starać się o przyłączenie do stosownego cechu.

Wynalazek. Wychowańcy szkoły technicznej kolei Wiedeńskiej, pp. Jakub Wojciechowski i Roman Plużański, przedstawili rzeczoznawcom model maszyny własnego wynalazku do wyrobu automatycznego papierosów. Przyrząd porusza się za pomocą pedału; może być także zastosowana transmisya do wprawiania w ruch parą.

Pogadanki. Zwyczajem dorocznym, p. Edmund Jankowski w „Bagateli" raz na tydzień miewa wykłady przystępne z zakresu ogrodnictwa.

Wypadki. Na Kaukazie skutkiem ulewnych deszczów w górach, rzeki i strumienie powylewały. Kura na całej swojej długości podniosła się przeszło 3 sążnie. Kolej Zakaukazka uszkodzona na przestrzeni setek wiorst, zniesione całe wsie, których mieszkańcy zaledwie zdołali ocalić życie. W mieście Gori dzielnica, w której znajduje się więzienie, zatopiona. Urządzenia wodociągowe tyfliskie pod wodą. Na doprowadzenie kolei do porządku trzeba będzie około trzech miesięcy czasu. Straty poniesione przez kolej i mieszkańców olbrzymie. Tak brzmią doniesienia telegr-[illegible].

— Na stacyi kolei Kursko-Charkowsko-Azowskiej, Konstantynówce, podczas postoju pociągu towarowo-osobowego, pękł kocioł parowozu. Zabity maszynista i jego pomocnik. Palacz mocno poparzony.

— Na wodach japońskich zatonął wielki okręt angielski. Zginęło kilkudziesięciu ludzi.

— W Clevelandzie (Ameryka) spadł tramwaj elektryczny z mostu w rzekę. Z wyjątkiem kilku, wszyscy pasażerowie utonęli.

Zmarli. Ksawery Szykler-Sieklerz, w Monachium, artysta malarz. Obrazy jego przeważnie po galeryach amerykańskich są rozsiane.

— Gustaw Langenscheidt, w Berlinie, znany nakładca i autor sławnych podręczników języka francuskiego tudzież angielskiego.

— Dr. Herman Seidel, znakomity chirurg, otruł się we Frankfurcie n. M.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 10 Ноября 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.